Nr. 8. Poznań, dnia 25 Lutego 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie . . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

Treść nr. 8-go.

Oświadczenie.

Główny Zarząd „Straży‘‘ na liczne zapytania członków i przyjaciół tej instytucyi jakie zajmie stanowisko w obec okólnika Najprzewielebniejszego ks. Arcybiskupa, żądającego od duchowieństwa, aby nie przyjmowało urzędów w „Straży‘‘ i na jej wiecach nie przemawiało,

odpowiada co następuje:

„Straż‘‘, stojąc na podstawie, na której stoi całe społeczeństwo, w niczem nigdy nie uchybiła i nadal nie uchybi obowiązkom, jakie na wiernych swoich kościół katolicki nakłada, a zatem żadnych kroków przeciw rozporządzeniom Władzy Duchownej nie uczyni. Oprócz zasady zniewala ją do tego przekonanie, że każdorazowy Arcybiskup obu naszych archidyecezyi znachodzi się w tem samem położeniu, w jakiem się znajduje całe nasze społeczeństwo, któremu wrogie prądy codziennie ścieśniają zakres praw przyrodzonych i gwarantowanych. Położenie to, w całym kulturalnym świecie anormalne a jedyne nakłada na nas wszystkich wstrzemięźliwość, ale i wyrabia dojrzałość, która sprawia, że się każdy do tej wstrzemięźliwości poczuwa, przytłumiając często pewne szlachetne porywy, nigdy nie gasząc ich iskry.

Dzieje ludzkości uczą nas, że gdziekolwiek tę nieśmiertelną iskrę w imię znikomej racyi stanu tłumiono, tem silniejszem gorzała ciepłem; dlatego, znając szczery patryotyzm naszego duchowieństwa, z ograniczenia jego działalności w łonie „Straży‘‘ nie obawia się Główny Zarząd osłabienia tych uczuć, które każdy szlachetny człowiek jako najdroższe w sercu chowa, ani tych dążeń, które mu są zaszczytnym obowiązkiem. Mimo trudności, piętrzonych na naszej drodze przez przeciwników kościoła i narodu pójdzie przecież służba boża u nas zgodnie ze służbą obywatelską, bo obie wspólnego mają wroga, a wynaradawianie stoi u nas z protestantyzacyą w ścisłym a świadomym sojuszu.

Protestując w obec wrogów, jakoby pomieniony okólnik mógł stworzyć pożądany im rozłam w społeczeństwie, zaręczamy swoim, że „Straż‘‘ i nadal nie naruszając istniejących praw, przepisów i rozporządzeń, strzedz będzie jednolitości naszej akcyi obrończej, i wszystkie siły we wspólnem skupiać ognisku.

Główny Zarząd „Straży.“

Józef Kościelski, prezes. *Dr. Wł. Mieczkowski,* sekretarz.

— Główny Zarząd „Straży‘‘ rozesłał powyższe oświadczenie z dopiskiem, że nie wolno księżom „tylko‘‘ przyjmować urzędów i wygłaszać mów w „Straży,‘‘ wolno im natomiast do „Straży‘‘ należeć w roli członków.

Przeważna część pism umieściła powyższe oświadczenie bez wszelkich uwag „Goniec,‘‘ „Lech‘‘ i „Dz. Berliński‘‘ zwracają uwagę na mglisty styl oświadczenia. I nam wydaje się oświadczenie to bardzo niejasne, stanowisko „Straży‘‘ wobec okólnika bynajmniej w oświadczeniu tem się nie uwydatnia. Wydaje ono nam się raczej oświadczeniem posłuszeństwa ze strony „Straży‘‘ i to zasadniczego posłuszeństwa wobec wszelkich rozporządzeń Władzy duchownej, bo „każdorazowy ks. Arcybiskup znajduje się w tem samem położeniu, co społeczeństwo całe, to znaczy i jemu „ścieśniają wrogie prądy zakres praw przyrodzonych i gwarantowanych.‘‘

Przykre nasuwa się tutaj pytanie: czy dla tego, że „wrogie prądy ścieśniają prawa ks. Arcybiskupa‘‘ — i jemu wolno także ścieśniać prawa duchowieństwa?

Odpowiedzi na to pytanie w oświadczeniu „Straży‘‘ nie znajdujemy. Możemy tylko domyślić jej się z ustępu, w którym mowa o anormalnem położeniu naszem, jedynem w całym świeciee, nakładającem na nas wstrzemięźliwość, wyrabiającą dojrzałość, która sprawia, że się każdy do tej wstrzemięźliwości poczuwa, przytłumiając często pewne szlachetne porywy, nigdy nie gasząc ich iskry.‘‘

, Doprawdy zdanie to wręcz wywołuje „pewne szlachetne porywy‘‘ — krytyki, wolimy je atoli „przytłumić,‘‘ by nie zgasić tej „iskry‘‘ zapału i ufności, jaką pokłada w „Straży‘‘ — społeczeństwo nasze.

Pozwalamy sobie tylko przypomnieć „Straży‘‘ jej własne hasło: *czuj duch,* by czuwała bardzo nad tem, ażeby wśród pojawiających się na około niej partyjnych przeciwieństw — nie straciła zaufania u społeczeństwa i nie pozbawiła go — zapału z jakim poczęło się do niej garnąć.

Księża a „Straż."

W przeszłym numerze „Pracy" poddaliśmy obszernej ocenie ostatni okólnik ks. Arcybiskupa Stablewskiego, zaznaczając, że praca księży w „Straży" była i jest pożądaną, gdyż księża już dali dowody, jak pożytecznie w „Straży" umieją pracować.

Nie możemy tutaj ocenić pracy księży w urzędach starostów lub komisarzy. Ta praca zapewne w dzisiejszych warunkach poza biuro „Straży" się nie wydostanie, możemy atoli podzielić się z czytelnikami dowodem, jak gorąco i szczerze księża nawoływali lud, by garnął się pod sztandar „Straży".

Swego czasu obeszła całą prasę naszą mowa ks. prob. Cichockiego ze Śmigła. Myśmy jej wówczas nie podawali. Teraz jednakże, kiedy księża więcej mów już na wiecach „Straży" nie wygłoszą, warto ją zachować jako miłą pamiątkę nie tylko pracy księży w „Straży", ale i ich zapału i pojmowania swego do „Straży" stosunku.

Ks. Cichocki mówił swego czasu na wiecu „Straży" w Śmiglu tak:

„Oburzają się na nas hakatyści — na nas księży katolickich, że pracujemy w „Straży", towarzystwie świeckiem i politycznem. Aleć to nasz *obowiązek!* Obowiązkiem bowiem jest każdego, tem więcej sługi Chrystusowego, aby zawsze stawał *po stronie i w obronie słabszych, uciśnionych,* gdziekolwiek ku temu sposobność się nadarzy... Choćbym był księdzem Niemcem — woła mówca — nie wahałbym się w dzisiejszych warunkach stanąć w obronie Polaków i ich słusznych praw... Cóż więc dziwnego, że księża skwapliwie garną się do „Straży", która obronę uciśnionych ma na celu.

Nie tylko poczucie sprawiedliwości, ale i miłość chrześciańska wiedzie nas w szeregi „Straży". Jak to? Miłość chrześciańska wymaga od nas, abyśmy miłowali wszystkich bez wyjątku, ale nie wszystkich w równej mierze. Toć sam Pan Bóg na czele przykazań, obowiązujących nas względem bliźniego, powiedział: „Czcij ojca twego i matkę twoją". I grzeszyłbym przeciw temu przykazaniu, wyrodnym byłbym synem, gdybym innych ludzi, może bogatych, ale obcych, choćby mi raj tu na ziemi obiecywali, więcej miłował, aniżeli swojego ojca, aniżeli swoją matkę, choć biednych... A któż jest nas wszystkich ojcem, któż naszą matką z woli Bożej tu na ziemi? Nikt inny, jak Polska nasza, naród polski, boć wszyscyśmy się Polakami narodzili. A więc z woli Bożej nie inne narody, choćby najbogatsze, choćby najpotężniejsze, lecz nasz naród polski, choć biedny, naszą narodowość polską, choć uciskaną, nasz język polski, choć prześladowany, przedewszystkiem miłować winniśmy. Wypełniajmy więc gorliwie to przykazanie nie tylko sercem, usty, ale przedewszystkiem czynem, a do tego znowu sposobność nam daje „Straż".

Jest jeszcze trzeci powód, dla czego nam od „Straży" stronić nie trzeba. *Dzisiejsza antypolska polityka jest zarazem antykatolicka,* germanizacya jest zarazem *protestantyzacyą.* Kto dzisiaj walczy w obronie polskości, jak to czyni „Straż", ten też walczy w obronie wiary naszej.

Ale czy ta walka, którą my obecnie w obronie najświętszych naszych praw podejmujemy, jest konieczną? Toć ci, przeciw którym się bronimy, twierdzą, że nas bynajmniej nie prześladują, że nas przeciwnie dobrodziejstwami nieustannie obsypują, a my niepoprawni niewdzięcznicy uczuć tego nie chcemy, jeno ich — o zgrozo! — uciskamy.

Weźmijcie jakąbądź gazetę polską, a znajdziecie w niej nieomal codziennie huk dowodów, że germanizacya do nas zewsząd się wciska... Dzisiejszy system szkólny, kolonizacya, nowela osadnicza — na cóż to wszystko? Na to, aby w nas zdławić ducha polskiego, aby nas zgermanizować.

Ta sama gazeta poucza was, że i protestantyzacya na naszych ziemiach rdzennie polskich i katolickich straszne już poczyniła wyłomy... Zajrzyjcie do pięknie zabudowanych zagród kolonistów ze wszech stron świata pospędzanych, a już tak licznych z łaski sprzedawczyków i szukajcie wśród nich, choćby z latarką, katolików. Iluż ich znajdziecie? Drobną zaledwie garstkę... Parafia nasza, kościoły nasze katolickie pustoszeją.

A w urzędach! Wszędzie lutrzy rej wodzą. Znana to i statystycznie udowodniona rzecz... Weźmy za przykład nasz powiat śmigielski. Powiat to na wskroś katolicki; na czele jego stoi landrat protestant — gdzie sprawiedliwość? Szkoła śmigielska w wielkiej większości katolicka; — rektorem jej oczywiście znowu protestant — gdzie sprawiedliwość? Lazaret pełen katolików, wśród których nikną innowiercy; — nie znajdziesz tam ani jednej zakonnicy katolickiej, jeno dyakoniski, z którymi chorzy ani rozmówić się nie mogą, — gdzie sprawiedliwość? Tak jak w Śmiglu jest i gdzie indziej...

Oczywista, że na tę germanizacyę i protestantyzacyą z założonemi rękoma gnuśnie nam patrzeć nie wolno; — trzeba się bronić! Jak?

Garnijmy się rączo do oświaty; — niech uczciwa, polsko-katolicka gazeta, dobra książka codziennym będzie gościem w domach naszych; — niech dom nasz każdy będzie szkołą zarazem dla dzieci naszych. Z ciemnymi nie trudna walka; — oświata zaś narodu zniweczy wszelkie wrogie zakusy.

Nie puszczajmy z rąk choćby kawałeczka ziemi, bo ile ziemi, tyle Polski.

Oszczędzajmy skrzętnie, bo pieniądz to potęga; — a grosz zaoszczędzony nie gdzieindziej jeno w bankach naszych polskich składajmy.

Popierajmy swoich; swoich rzemieślników, swoich przemysłowców, swoich kupców. „Swój do swego..." Trąbmy o tem nieustannie do uszu naszych matek, żon, sióstr, które obowiązku swego jeszcze nie rozumieją.

Bądźmy gorliwymi członkami „Straży"; — pociągajmy do niej za sobą innych, naszych krewnych, sąsiadów, znajomych... Ławą iść nam trzeba! Precz z waśnią, z rozterką; — iść nam trzeba w zgodzie i miłości bratniej...

Gdy tak bronić się będziemy, zatryumfujemy nad złem, co nas gniecie, *bo przy nas Chrystus, Bóg!* „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

Pojmowali więc księża pracę swoją w „Straży" jako pracę dla „pokoju ludzi dobrej woli". Widocznie to właśnie nie podobało się hakatystom. Wolą oni, gdy ziemia nasza rozbrzmiewa hasłami walki, hasłami gniewu i nienawiści. Z takich tylko haseł spływają dla nich spodziewane korzyści.

Dać „pokój ludziom dobrej woli", to znaczy zawiesić istniejącą walkę, to znaczy zburzyć hakatyzm. A zatem — precz z księżmi ze „Straży", precz ze „Strażą" — wołają hakatyści.

Udało im się usunąć księży ze „Straży", bo podburzyli rząd, a rząd wywarł nacisk na ks. Arcybiskupa. „Straży" jednak tem samem jeszcze hakatyści ani nie osłabili, ani nie podkopali jej rozwoju. Wraże bowiem ich zabiegi przekonały społeczeństwo polskie doraźnie, jak ważne w obronie naszej, w walce o naszą polskość zajmuje „Straż" miejsce. Społeczeństwo nasze, my wszyscy wysnujemy z tego przeświadczenia odpowiednie wnioski i tem tłumniej wstępować będziemy w szeregi „Straży".

Więcej oświaty pod względem narodowym dla ludu polskiego.*)

„Więc my skazani na wymarcie? na bezechowy koniec bytu?“

Tak jest! — przynajmniej wedle zapowiedzi od stołu ministeryalnego, przy którym niedawno wypowiedziano: An dem Grundsatze der Polenpolitik wird nichts geändert — w zasadach polityki polskiej nic się nie zmieni. A wiadomo przecież, że zasada polityki hakatystycznej przeciw nam Polakom to krzyżackie „ausrotten“, hasło, które hakatystom w krew i kości przeszło.

Ale ileż już nam złowrogich głosów przebrzmiało od stołu ministeryalnego, a my jednak żyjemy! Tę pewność niepokonaną daje nam siła, która w każdym z nas Polaków tkwi, drzemie, spoczywa, którą dobrze czujemy, ale której dotąd nie mogliśmy jeszcze albo raczej niestety nie umieliśmy połączyć w jedną potęgę, o którą się wszelkie piekielne napaści i najazdy hakatystów rozbić muszą. Czas już najwyższy, aby się zabrać do tworzenia tego potężnego dzieła w celu odpierania wszelkich zgubnych na nas napadów, bo niedługo może być zapóźno, tem więcej, że hakata zapowiada nowe już prawa wyjątkowe, które dla nas muszą być strasznemi więzami i wielką przeszkodą w naszych dążnościach?

Do czego zmierzam?

Tak wiele mówią o pracy, o poświęcaniu się dla ludu, bo w nim ma się znajdować ostatnia nasza nadzieja dobrej przyszłości. I wieszcz Jan Kasprowicz w natchnieniu Bożem woła:

Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Jak ta w popiele skra ukryta;
Choćby ostatnią płuc potęgą.
Dmuchajmy w tę skrę bożą, aż łun
splonie wstęgą.

Chociaż pod tym względem wszyscy wiele pracujemy, to przyznać jednak musimy, że cośmy dotąd dla ludu zrobili, jest *za mało*, aby w nim znajdować się mogła ostatnia nadzieja naszego bytu, naszej lepszej przyszłości. Także obecnie za mało pracujemy nad tem, aby lud do tyla wykształcić, iżby dobrze zrozumiał, że spełnić ma wielkie zadanie w narodzie. Kto w kołach ludu, niższych i średnich warstwach społeczeństwa naszego się obraca i dla dobra i oświaty jego pracuje, ten moje słowa potwierdzi. Jak wielkie niezrozumienie spraw naszych najważniejszych i najpotrzebniejszych wśród ludności polskiej panuje, to często nie do uwierzenia! Gdyby mnie zapytano, dla czego lud nasz, niższe i średnie warstwy, tak mało obeznane z najgłówniejszemi, najżywotniejszemi sprawami narodowemi, to śmiało odpowiem:

Lud nasz za mało czyta gazety ludowe polityczne!

Na dzisiejsze nasze smutne i zawiłe stosunki nie wystarczy dla ludu „Przewodnik katolicki,“ chociaż w blisko siedmdziesiąt pięć tysięcy egzemplarzach się rozchodzący, który zresztą w ostatnim czasie swego posłannictwa wcale a wcale nie spełnił. „Przewodnik katolicki,“ jeżeli chodzi o pouczanie pod względem wiary i moralności, zastąpią nasze biblioteki ludowe i parafialne z pięknym wyborem książek treści moralnej pouczającej, kształcącej rozum i serce, a przedewszystkiem zastąpią go nasi kapłani, którzy w niedzielę i święta przed i po południu czasem aż do trzech i pięciu nauk wygłaszają, a po za kościołem w rozlicznych Stowarzyszeniach znowu przemawiają. Jeżeli zaś ma być „Przewodnik katolicki“ ze swoim Opiekunem dziatek podstawą do nauczenia się czytania polskiego, to pod tym względem zastąpi go każda gazeta ludowa polityczna, a mianowicie ta, która jak „Przewodnik“ podobne dodatki dla dzieci dołącza.

Jeżeli zaś o to chodzi, że czysty zysk z wydawnictwa „Przewodnika“ idzie na utrzymanie konwiktów, to pozwolę sobie zrobić uwagę: Nie bądźmy za wspaniałomyślni dla instytucyi, których w przyszłości bardzo wątpliwe nasze posiadanie, bardzo niepewna nasza własność!

Toć i dzisiaj za pieniądz przodków naszych kształcą się dzieci naszych wrogów. Zresztą konwikty polskie w naszych obecnych bardzo smutnych stosunkach pod kierownictwem księży Niemców nie spełnią swego zadania. Aby zdolnych młodzieńców wykształcić na dzielnych mężów, na to się znajdzie wiele innych korzystniejszych sposobów np. przez powiększenie funduszów zbieranych na młodzież i inne sposoby — i ku temu celowi powinna się rozwinąć szeroka energiczna agitacya.

Jeżeli w końcu uwzględnimy, że nasze wszystkie gazety ludowe stoją na gruncie czysto polskim katolickim, to nie pojmuję, dla czego „Przewodnik“ ma mieć pierwszeństwo przed wszystkiemi i dla czego ma je wypierać z pośród ludu, dla którego sam pod względem oświecenia i pouczenia w naszych najkonieczniejszych i najżywotniejszych sprawach narodowych prawie nic nie uczynił, nic nie zdziałał.

Twierdzę zatem stanowczo, że cała prasa ludowa niezależna, jeżeli pragnie lud polski przygotować do odpornej walki przeciw germanizacyi, jeżeli pragnie wyrobić w ludzie polskim niezachwiany święty zapał i odwagę do bronienia najświętszych swoich praw i skarbów narodowych, co zresztą w dzisiejszych stosunkach jej świętem jest zadaniem, powinna rozwinąć energiczną, praktyczną agitacyę wśród niższych i średnich warstw ludu polskiego, aby jak najwięcej zwolenników pozyskać mogła. Jeżeli zaś cała prasa ludowa niezależna pracować będzie we wspólnej zgodzie i jedności dla jednego wspólnego celu, dla dobra narodowego, to bez wątpienia jej szlachetne dążności, hasła, rady i wskazówki przenikną jak iskra elektryczna lud polski, który gruntownie a praktycznie oświecony i pouczony do nowego porwie się życia i działania.

Dla skutecznej agitacyi za pismami ludowemi potrzebaby było, aby zakładano agentury po miasteczkach i większych wsiach, za stosownem wynagrodzeniem znajdą się do tego odpowiedni mężowie. Pomoc skuteczną znajdzie prasa ludowa u wszystkich, którzy doniosłość takiego działania rozumnie ocenią, i którym sprawa narodowa prawdziwa, nie ta deklamacyjna tylko, bardzo leży na sercu.

A więc do dzieła, bo czas nagli! Jedni niech służą radą, drudzy działaniem i czynem, a wszyscy razem służmy świętej naszej polskiej sprawie wedle wszystkich naszych sił i zdolności w miłej jedności i zgodzie. A gdy jedna myśl nas wszystkich przeniknie, myśl wspólnej pracy nad naszą niedolą, wtenczas siły nasze wszystkich złączą się w jedną niezwyciężoną potęgę i możemy być pewni, że nie zginiemy, że przetrwamy wspólnie burze i nieludzkie wymysły hakatystycznej złości, i za wieszczem Janem Kasprowiczem będą mogli o nas powiedzieć:

Szczęśliwe ludy, które w czas zawiły
Przed czarną zbłąkań nie zadrżały
knieją,
Lecz kryjąc w sercu zapał niepojęty,
Idą na pewno, gdzie ich cel wytknięty!

---

*) Artykuł, który tutaj podajemy, napisał pewien ksiądz i podał go bezimiennie — księża inaczej ogłaszać swych artykułów nie mogą — w „Orędowniku“, prosząc wszystkie inne pisma polskie o przedrukowanie. Życzeniu temu księdza — autora czynimy z tem większą ochotą zadość, ponieważ na zapatrywania jego w artykule wygłoszone zupełnie się godzimy. Red.

Z Królestwa Polskiego.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

(*Stan wojenny. Gwałty rządowe. Prześladowanie pracy. Zamknięcie pism ludowych. Siły i wpływy demokracyi narodowej i jej widoki wyborcze. Strejk biur wyborczych w Łodzi. Sprawy gminne. Odezwa demokracyi narodowej. Okólnik ministeryum. Kronika*).

20 lutego.

Z wiarogodnego źródła otrzymał wiadomość petersburski korespondent „Kuryera Warszawskiego“, że stan wojenny *nie* będzie zniesionym w najbliższej przyszłości w żadnej miejscowości państwa, a więc i w Królestwie Polskiem. Jednocześnie prasa rosyjska powtarza słowa jakiejś bardzo wysoko postawionej osobistości rządowej, że Duma zwołaną będzie dopiero w jesieni. Czy będzie zwołaną *wogóle* przez rząd dzisiejszy, o tem powątpiewają na seryo organy prasy rosyjskiej, zwłaszcza postępowej. Miłe widoki! a raczej żadnych widoków wyjścia już prędzej z tego okropnego stanu wyjątkowego, pod brzemieniem którego jęczy ludność Królestwa!

Prócz aresztowań, które ani na chwilę nie ustają, do tego stopnia, że liczba aresztowanych w całem Królestwie dochodzi już do trzech (!) tysięcy, mnożą się inne objawy ucisku. Nakładają kontrybucye na wsie, gminy lub dwory za najbłahsze przewinienie lub wykroczenie przeciwko ostrym przepisom stanu wojennego.

Wieś Grodziec, w pow. będzińskim, za dokonane na jej obszarze zabicie strażnika ziemskiego, uszczęśliwioną została przysłaniem 80 kozaków, których mieszkańcy na swój koszt zmuszeni są utrzymywać. Mało — gmina skazaną została na 5000 rs. kontrybucyi, którą skutkiem odmowy włościan władze ściągają przy pomocy wojska! I wszystko to za zabicie strażnika, dokonane, być może, przez kogoś całkiem obcego.

W Smardzewicach, pow. opoczyńskim, wojsko, pod kierownictwem naczelnika powiatu, katowało nielitościwie włościan, chcąc się dowiedzieć od nich o miejscu pobytu proboszcza, oskarżonego o działalność narodową. Miał on być aresztowanym, lecz w odpowiedniej chwili wyjechał. Znęcano się nad nieszczęśliwymi, rozciągano na ziemi i bito włościan, organistę i nauczyciela. Zrewidowano kościół, plebanią, gdzie skonfiskowano wina mszalne, a u włościan podobno i pieniądze. Wogóle „konfiskowanie“ podczas rewizyi pieniędzy i przedmiotów wartościowych jest praktykowane szeroko przez żandarmów i żołnierzy po wsiach i miastach. Te dwa wypadki, a jest ich więcej, dość chyba wymownie świadczą o tym okropnym stanie bezprawia i bezsilności, w jakich pozostaje dziś ludność Królestwa.

W dalszym ciągu prześladują prasę. Do znacznej już liczby zamkniętych lub ukaranych grzywnami czasopism polskich przybywają: „„Biesiada Literacka“, „Strażak“ i „Gazeta Świąteczna“. Te dwa pierwsze otrzymały po 1000 rs. kary, a „Gazeta Świąteczna“ zamkniętą została na czas trwania stanu wojennego; dwa ostatnie numery policya skonfiskowała.

Ludowy ten organ, bardzo rozpowszechniony wśród włościaństwa polskiego, był pod szczególnym nadzorem biurokracyi rosyjskiej, a podczas istnienia cenzury cenzurowanym był znacznie surowiej, niż inne pisma Królestwa. Odznaczał się nawet po jej zniesieniu kierunkiem umiarkowanym i mimo to dzieli los „Zorzy“ drugiego warszawskiego organu ludowego, zamkniętego w początkach stycznia. Represye te względem prasy ludowej jawnej wpłyną jedynie na zwiększenie poczytności krakowskiego „Polaka“, już dotąd wśród ludu popularnego, dzięki któremu uświadomione politycznie warstwy włościaństwa polskiego zasilają dziś licznie kadry demokracyi wszechpolskiej.

Stronnictwo to posiada dziś największe widoki przeprowadzenia swych kandydatów podczas wyborów, w całym kraju. Że jest najliczniejszem, najpopularniejszem i najwięcej wpływowem, przyznają to głośno i jawnie wszyscy, nawet przeciwnicy demokracyi narodowej. Przedwyborcze zebrania w całym kraju stwierdziły jej wpływy i przewagę. Te zauważyć się dały na zebraniach wyborczych nawet w niemiecko-żydowskiej Łodzi, gdzie jest bardzo możliwym wybór Polaka; w Warszawie zaś, gdzie socyaliści i postępowi demokraci na pozór panują, przejdą zapewne adw. Franc. Nowodworski i Wład. hr. Tyszkiewicz, obaj z ramienia demokracyi narodowej — takim był wynik głosowania próbnego na jednem z przedwyborczych zebrań miasta Warszawy.

A co się tyczy jeszcze wyborów, to w Łodzi biura wyborcze zastrejkowały i są nieczynne z powodu niewypłacenia ich urzędnikom pensyi od dwóch miesięcy. Szczęściem, że to się stało w chwili, gdy termin zapisywania się do list wyborczych (14 lutego) minął.

Z więzienia płockiego oraz z fortecy w Modlinie wypuszczeni zostali wójci, pisarze i sędziowie gminni, jacy w liczbie kilkudziesięciu zapełniali te mury więzienne i kazamaty. Wypuszczono ich pod warunkiem, że spełniać będą rozporządzenia władzy. Pragnęli oni używać języka polskiego nietylko w wewnętrznem urzędowaniu gminy, ale i w korespondencyi z powiatem i gubernią. Obecnie odstąpić muszą od tego zamiaru. Położenie aresztowanych i gmin, pozbawionych pisarzy i wójtów, było okropnem, to też tą sprawą zajął się prezes Towarzystwa rolniczego w Płocku, p. Chełkowski i dzięki jemu zawartym został kompromis. Nie znaczy to jednak wcale, by demokracya narodowa zrezygnować miała z walki na gruncie samorządu gminnego. W wydanej odezwie stronnictwa czytamy co następuje:

„Nie wyrzekajmy się naszych uchwał polskich w gminie. Zachowujmy spokój, bądźmy cierpliwi na gwałty, nie porywajmy się na naszych wrogów, którzy dziś mają większą od nas siłe, ale od swego nie odstępujmy.

Niejeden, który słabszy, ulega i innych do uległości namawia, ale my, którzy wierzymy mocno w sprawę naszą, nie idźmy za tą namową, jeno tamtym ducha dodawajmy.

Gmina musi urzędować po polsku. Ten, kto słucha Moskali, kto uchwala wracać do dawnego, działa wbrew narodowemu przykazaniu. Można go czasem usprawiedliwić, gdy zrobił to pod naciskiem, pod groźbą gwałtu, ze strachu przed srogiem prześladowaniem, ale nie można go naśladować, nie można psuć wielkiego dzieła, którego naród dokonał.“

Rosyanie w Kaliszu, uznając swą słabość liczebną, ogłaszają, że do wyborów nie przystąpią wcale.

W przewidywaniu ruchów agrarnych ze zbliżającą się wiosną ministeryum spraw wewnętrznych rozesłało do gubernatorów wojennych w całem państwie rosyjskiem okólnik, nakazujący jaknajsurowsze środki zapobiegawcze przeciwko „podżegaczom i agitatorom rewolucyjnym“. Ponieważ pod rubryką władze rosyjskie chętnie podciągają wszystkich sobie niemiłych, okólnik ten będzie nowym protestem do rozmnożenia nadużyć i prześladowań ludności.

Socyaliści żydowscy w Warszawie wywołali awanturę na posiedzeniu przedwyborczem, zwołanem w resursie Obywatelskiej przez „Spójnię“. Usiłowali oni hałasem i wrzaskiem rozbić zgromadzenie, aż zebrani rzucili się na nich i wyparli na ulicę, mocno poturbowawszy awanturników.

W taki to sposób żydowski socyalizm zamanifestować chce nieprzejednane stanowisko swoje wobec wyborów; posługuje się w tym celu najętymi zbirami.

Na zakończenie podaję ciekawą statystykę rewolucyjnego ruchu w gub. Radomskiej za rok ubiegły.

Ogłasza ją urzędowy „Warszawski Dniewnik“.. Przedstawia się ona w następujący sposób:

„Zabici zostali przez „anarchistów“: dwaj wyżsi urzędnicy policyi, 4 niżsi; raniono 2 wyższych i 13 niższych funkcyonaryuszy. Najwięcej tych wypadków było w Radomiu i Ostrowcu. Uległo pogromowi 30 urzędów gminnych, 4 sądy gminne, 26 sklepów monopolowych, 1 kasa powiatowa, 7 biur pocztowych, 3 stacye kolejowe, 10 szkół początkowych, 4 leśniczówki. Zburzono 4 mosty kolejowe, skutkiem czego w jednym wypadku było rozbicie pociągu. Największa ilość pogromów przypada na powiaty: opatowski, iłżecki i konecki“.

[illegible]nata.

Korespondencya z Galicyi.

Kraków, dnia 19-go lutego 1906.

(W przededniu reformy wyborczej).

Gdy numer ten dojdzie rąk Czytelników „Pracy,“ będzie już rozstrzygnięta kwestya, zajmująca dziś więcej, niż wszystko inne, ogół polski w Galicyi, a mianowicie, jak się przedstawia w rzeczywistości przygotowany przez rząd projekt nowej ordynacyi wyborczej do parlamentu austryackiego, czyli tak zw. „Rady państwa.“ Projekt ten ma być przedłożony Radzie tej w *piątek*. To, co niektóre wiedeńskie dzienniki dowiedzieć się o nim zdołały z rzekomo „zupełnie wiarogodnych źródeł“ brzmi sprzecznie, dzieli się na kilka rozmaitych wersyi. Pod jednym atoli względem wersye te są dość zgodne, pod tym mianowicie, że wszystkie zapowiadają *nowe wielkie pokrzywdzenie Galicyi na punkcie przyznanej jej rzekomo liczby mandatów*. Liczba ta ma wynosić 88 lub 90, a więc o 10 do 12 więcej, niż dotychczas, podczas gdy ogólna liczba mandatów poselskich w całem państwie powiększoną zostanie o mniej więcej 30. Jeśli te cyfry, oraz cyfry, dotyczące mandatów innych krajów koronnych w przybliżeniu chociaż zgadzają się z prawdą, w takim razie w Galicyi przypadać będzie jeden poseł na *81 tysięcy* mieszkańców; natomiast *w Bukowinie* już na 66 000, w *Morawach i Czchach* na 53 000, w *Styryi* i *Krainie* na 45 000, w *Austryi górnej i dolnej* na 40 000, w *Tyrolu, Salcburgu i Przedarulanii* (Vorarlberg) zaś nawet na 34 do 39 000! Tak oto ma się przedstawiać jedna z „równości“ przyszłego systemu wyborczego! Kraje niemieckie otrzyma[illegible] mają stosunkowo dwa do trzech razy *więcej* mandatów poselskich, niż Galicya!

Aby tę krzyczącą niesprawiedliwość odeprzeć, na to potrzebaby zupełnie zgodnej i jednolitej akcyi odpornej całej parlamentarnej reprezentacyi Galicyi. Niestety zgody i jednolitości w sprawie tej niema przeciwnie, jest rozbicie — jakiego jeszcze nie było. Stanowisko poszczególnych stronnictw galicyjskich w tej sprawie już określiłem w jednej z dawniejszych moich korespondencyi. Rozbiegają się one, jak wiadomo, na wszystkie możliwe strony, tymczasem zaś, korzystając z tego rozprzężenia wśród Polaków, *Rusini* rozpoczęli akcyę za reformą wyborczą na niebywałe dotychczas rozmiary. Wystąpili oni podobno w Wiedniu z żądaniem, ażeby z liczby przyznanych Galicyi mandatów, conajmniej 45 procent im przypadło w udziale. Znaczy to w liczbach konkretnych, że w razie, gdy Galicya otrzymała mandatów 90, — mniej więcej 41 dostać by się miało Rusinom. W ten sposób, gdyby żądania Rusinów spełnić się miały, Koło polskie faktycznie przestałoby istnieć, w najlepszym zaś razie spadłoby do rzędu małej grupy parlamentarnej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w zachodniej polskiej Galicyi przynajmniej trzecia część mandatów przypadnie w udziale przy pierwszych wyborach na podstawie powszechnego prawa głosowania „ludowcom“ i socyalistom, do Koła polskiego nie należącym — zatem na właściwe Koło, obejmujące konserwatywne i umiarkowanie demokratyczne żywioły przypadłoby zaledwie 20 do 30 mandatów.

Przewidując taką ewentualność Koło polskie starało się podobno w Wiedniu o to, aby w Galicyi zaprowadzono nie powszechne równe lecz tak zw. *„pluralne“* prawo wyborcze i te zabiegi uwieńczone zostały rzekomo pomyślnym skutkiem.

W takim atoli razie Galicya znów zajmie wyjątkowe stanowisko w państwie, znów zasady prawdziwej demokracyi, które jedynie mogłyby ją wyzwolić z dzisiejszej niedoli ekonomicznej i społecznej — nie znalazłyby tu zastósowania. Tak źle i tak nie dobrze, dostaliśmy się jednem słowem w dylemat, z którego wybrnąć trudno. Najprawdopodobniejszą atoli rzeczą jest, że reforma wyborcza na razie wogóle *nie przyjdzie do skutku*. Niemcy, którzy tworzą tylko trzecią część ludności a mimo to otrzymać mają niemal połowę wszystkich mandatów do Rady państwa, jeszcze nie są zadowoleni z tego i prawdopodobnie pod rozmaitemi pozorami sprzeciwiać się będą reformie. I *Koło polskie w obecnym* swoim składzie nie poprze jej należycie. To też już dziś ogólnie przewidują, że projekt rządowy nie znajdzie większości i upadnie. Rząd w takim razie rozwiąże obecną Radę państwa i rozpisze nowe wybory — wprawdzie na podstawie dotychczasowej kuryalnej ordynacyi wyborczej, lecz pod hasłem powszechnego prawa wyborczego. Jeśli zaś stanie się to rzeczywiście, czekają nas przejścia jeszcze gorsze. Dotychczasowa już agitacya za reformą roznamiętniła w wysokim stopniu szerokie masy ludności. We wschodniej zwłaszcza Galicyi księża ruscy, ignorując zupełnie list pasterski biskupów ruskich, podburzają w niebywały sposób chłopów ruskich przeciwko Polakom. Nie ulega więc wątpliwości, że czekająca nas w takim razie walka wyborcza będzie niezmiernie zacięta, a może — nawet wprost *krwawa*.

Wobec takiej perspektywy, jak łatwo wyobrażać sobie możecie, usposobienie w naszym kraju nie jest bynajmniej wesołe.

Galicyanin.

Polskie związki zawodowe.

Istnieje ich trzy: Związek zawodowy polski w Poznaniu, Związek Bratniej Pomocy w Bytomiu G. Śl. i Zjednoczenie zawodowe polskie we Westfalii.

Zadaniem wszystkich tych związków jest: połączyć robotników polskich — w *polskich* związkach zawodowych i starać się o polepszenie ich doli pod względem materyalnym (chleba) i kulturalnym (oświaty).

Do niedawna, bo temu lat 4 nie było jeszcze ani Polskiego zw. zaw. w Poznaniu ani Zjednoczenia Zaw. w Bochum. Setki i tysiące robotników polskich — tu w dzielnicach rdzennie polskich nietylko ale i tam na zachodzie ginęły w związkach obcych — niemieckich.

Założono w r. 1902 Związek Zaw. polski w Poznaniu — a w rok później Zjednoczenie w Bochum.

Obydwa Związki napotkały na wielkie trudności. Tu — socyaliści i związkowcy t. zw. chrześciańscy rozbijali ze-

brania, bruździli na wiecach agitacyjnych, odciągali im członków. Tam w Westfalii działo się to samo. Nie mogli tylko przeciwnicy Zjednoczenia podołać nadzwyczaj energicznej agitacyi, jaką od samego nieomal początku zwolennicy jego rozwinęli.

To też rozwój Zjednoczenia rósł w niebywały sposób. Założone w r. 1903 — bez funduszów i z kilkunastu członkami liczy w r. 1904 — przeszło 12 tysięcy członków i posiada kilkanaście tysięcy marek w kasie. W r. 1905 liczba zjednoczeniowców przechodzi 20 tysięcy i stawia Zjednoczenie w ten sposób w równym rzędzie z najpotężniejszemi organizacyami zawodowemi niemieckiemi.

Okazało się to podczas zeszłorocznego strejku górników w Westfalii i Nadrenii. Delegaci polscy brali udział w obradach delegatów innych związków, a zastępca ich zasiadł nawet w t. zw. komisyi siedmiu. Organizacye niemieckie, te same które poprzednio zwalczały Zjednoczenie na wszelki sposób, podały mu dłoń wtenczas, kiedy chodziło o — wspólną dolę robotnika, uznając tem samem pomoc Zjednoczenia za skuteczną.

Była to dla „Zjednoczenia" chwila tryumfu.

Nie tak szybko rozwijał się „Związek zaw. Polski" w Poznaniu. Miał on też cięższe daleko warunki. N. p. w Poznaniu nie mieszka i dziesiąta część liczby robotników , jaka mieszka w Dortmundzie, którego ogólna liczba mieszkańców od Poznania nie jest wiele większa.

Nie rósł też „Zw. zaw. Polski" liczebnie ale zadanie miał do spełnienia większe. Nie było strejku w Poznaniu od jego założenia, w którymby nie był czynny, nie tyle co przez udział członków w strejku ile przez to, że jego zarząd i rada czynili usilne starania do wyrównania nieporozumień pomiędzy pracobiorcą a pracodawcą. Była więc praca Związku więcej pokojowa, ale nie brakło jej i ostrych starć strajkowych, a związkowcy dziś mają do swej organizacyi to przeświadczenie, że Związek ich dba o ich dobro i powodzenie a w staraniach swoich kieruje się rozumem i rozsądkiem.

To też dziś i Związek zaw. polski — powiedzieć można — przeszedł przełomową swoją chwilę i będzie się rozwijał w przyszłości — i prędzej i lepiej.

Niesnaski górnośląskie z ostatnich lat odbiły się niestety najujemniej na Związku Bratniej Pomocy w Bytomiu. Związek ten, który powoli się rozwijał, był już nawet bliski zastoju i upadku. Jest to najstarszy z polskich związków zawodowych i przyznać musimy — bodaj najpotrzebniejszy tak ze względów narodowych jak i czysto społecznych. Robotnik — Polak górnośląski w najgorszem jest położeniu, praca górnika i hutnika trwa najdłużej, płaca jest marna, wyzysk ze strony pracodawcy-Niemca najgorszy.

Słusznie też wyodrębniono z walk partyjnych Związek Bratn. pom., postarano się o jego reorganizacyę i dziś liczba członków rośnie podobno z dnia na dzień.

Na podstawie powyższych szczegółów możemy stwierdzić, że dążności, tych polskich związków zawodowych są wszędzie jedne i te same, chodzi przecież o złączenie polskiego robotnika, chodzi o polepszenie doli polskiego robotnika, co ważniejsza — wszystkie trzy związki znajdują się w fazie rozwoju, rosną w liczbę członków i majątek. Nie dzieje się to wszędzie równomiernie, bo nie wszędzie są te same warunki. W każdym razie związki te, każdy wokoło siebie dokonał tyle, ile w tym krótkim czasie, w tych kilku latach dokonać zdołał.

I otóż pojawia się myśl złączenia wszystkich tych związków — w jeden wspólny, pod wspólną nazwą i pod jednym zarządem. Tak rozumiemy bowiem projekt rzucony przez „Dziennik Berliński".

Projekt to nie nowy. Był on już przedmiotem obrad w kołach zorganizowanych polskich robotników niejednokrotnie. I zdaje się, że w zasadzie na myśl połączenia tych trzech związków polskich godziłyby się one wszystkie. Nie należy atoli zapominać o tem, że nie dałoby się to uskutecznić ani dziś ani jutro.

Są pewne trudności. Nie myślimy tutaj wymieniać tych antagonizmów, jakie istnieją n. p. pomiędzy Zjednoczeniem i Związkiem zaw. polskim, choć i te trudno by było usunąć, ale przedewszystkiem w samych podstawach organizacyjnych są pewne różnice, których usunąć tak łatwo się nie da. N. p. Zjednoczenie ma tylko robotników w swej organizacyi, Związek poznański organizuje także i rzemieślników, Zjednoczenie zaprowadziło trzy stopnie tygodniowych składek, Związek ma tylko jeden stopień, Zjednoczenie nie ma wynagrodzeń podróżnych w razie braku pracy — Związek ma to wynagrodzenie i kilka innych tego rodzaju różnic, z któremi odnośni członkowie się zrośli, z któremi związek ich się liczy i nie łatwo od nich odstąpić by chciał.

Największą atoli trudność stanowi odległość środowisk tych trzech związków — Bochum — Bytom — Poznań. Układy i złączenie mogą się przez to lata całe ciągnąć.

Co jednakże za złączeniem ogromnie przemawia, to to szczególnie, że robotnik polski uczułby, gdziekolwiek by był, zawsze łączność z krajem. Silniejszy wspomagałby za pomocą wspólnej organizacyi słabszego i w ten sposób nawiązałby się mocniejszy węzeł braterstwa i narodowej wspólności pomiędzy robotnikami polskimi, aniżeli dziś istnieje.

Myśl połączenia trzech polskich związków zawodowych — w *jeden* w każdym razie uwagi jest godną, pomimo nasuwających się na myśl znacznych trudności.

Tydzień polityczny.

W *Niemczech i Prusach* toczą się wśród zwykłych objawów utarczek i walk parlamentarnych obrady w izbach poselskich nad poszczególnymi etatami państwowymi. Posłowie polscy w obradach tu i tam żywy biorą udział i wytaczają skargi nasze, zakładając głośne protesty przeciwko bezprawiom, jakie nam się dzieją, oraz zwracają ministrom uwagę na to, by podległym sobie urzędnikom nakazali ściśle stósować się do przepisów prawnych. Niema prawie dnia, w którymby mniej lub więcej ostra między posłami naszymi a ministrami nie zachodziła wymiana zdań.

Przygotowują się tymczasem wszystkie warstwy, wsie i miasta niemieckie do należytego i godnego uczczenia cesarza Wilhelma II. w dniu jego srebrnego wesela, którego uroczystości zapowiedziano na początek przyszłego tygodnia.

My Polacy w tych uroczystościach żadnego nie będziemy, i żadnego nie powinniśmy brać udziału, a to tem mniej, skoro w tej chwili z zebrania „rady koronnej," w której biorą udział wszyscy ministrowie pod przewodnictwem samego króla, groźne przebijają do nas zapowiedzi o nowych sposobach i środkach — polityki antypolskiej. Chodziło tym razem „radzie koronnej" według pogłosek krążących w kołach poselskich — o podwyższenie funduszów kolonizacyi, znajdujących się na wyczerpaniu.

Przygnębienia z tego powodu wśród nas nie zdołają zatrzeć wieści o amnestyi, która ma zostać ogłoszona w dniu wesela srebrnego cesarza. Amnestya ta ma obejmować kary więzienia lub aresztu do 6 tygodni, albo pieniężne do 150 mrk.

W poniedziałek nastąpiło zamknięcie *sejmu węgierskiego* w Budapeszcie.

Od chwili odroczenia sejmu w miesiącu grudniu ub. r. mijały tygodnie wśród nieustannych zapowiedzi porozumienia między koroną a sejmem. Następowały narady po naradzie, jeden przywódca węgierski po drugim miewał godzinne audyencye u cesarza Franciszka, zawsze z tym samym skutkiem — bez znalezienia możliwości pożądanego obopólnie porozumienia.

Od tygodnia rzucono popłoch na posłów węgierskich, pogrożono im, że: korona *gwałtem* zamknie, wzgl. rozwiąże sejm i sprawować będzie rządy bez udziału sejmu — absolutystycznie.

Zapowiedziom tym świat cały przyglądał się z pewnem niedowierzaniem aż oto w poniedziałek stały się faktem dokonanym — i to w okolicznościach niezwyczajnych.

Do Budapesztu sprowadzono wojsko, składające się z samych *Rumuńczyków*. Obawiano się, czy żołnierze *węgierscy* nie odmówią posłuszeństwa. By nadto manewr ten przeprowadzić jak najmniej podpadająco, żołnierze rumuńscy przewiezieni zostali do Budapesztu w ubraniach cywilnych, przeprowadzeni do koszar i tam umundurowani. Tymi żołnierzami i policyą otoczono w poniedziałek gmach sejmowy. Obrady otwarto pod osłoną wojska i policyi. Przeciwko temu protestują posłowie. Marszałek odczytuje następnie pismo gen. majora *Nyiriego*, w którem tenże powiadamia sejm, że cesarz mianował go komisarzem swoim z władzą *nieograniczoną*. Poczem powiadamia marszałek posłów o drugiem piśmie cesarskiem, *rozwiązującem sejm*. Marszałek wnosi, by pisma tego nie otwierać, bo nie jest ono prawne, i żeby oddać je nietknięte Nyiriemu. Wniosek ten przechodzi *ogromną większością*.

Posłowie uchwalają następne posiedzenie na środę i opuszczają pospiesznie izbę sejmową. Teraz występuje na plan komisarz samowładny, wchodzi na trybunę marszałkowską i obwieszcza obecnej w sali policyi i wojsku oraz publiczności zebranej w kurytarzach, że sejm został mocą uchwały królewskiej rozwiązany. Równocześnie nakazuje zamknięcie gmachu sejmowego. Policya oczyszcza gmach z publiczności, usuwa posłów, opierających się tu i owdzie nakazowi i zamyka wreszcie gmach wśród głośnych protestów zebranych tłumów ludności.

Wypadek ten jest bądź co bądź niebywały, mogący narazić Austryę na bardzo poważne zaburzenia wewnętrzne, jeżeli przywódzcy węgierskich stronnictw nie będą umieli zachować dostatecznie zimnej krwi. Pochopni politycy prorokują Austryi, że to jej pierwszy krok do — upadku.

Tymczasem *konferencya marokkańska* nie straciła nic ze swojej aktualności: ożywiają ją od czasu do czasu telegraficzne zapowiedzi, że obrady tuż, tuż zostaną przerwane, i że lada chwilę telegramy wymienią między Paryżem a Berlinem noty wojenne. Następnie nadchodzą zapewnienia, że tak źle nie było, przeciwnie, że układy kończą się między delegatami francuskimi i niemieckimi zapewnieniami o ostatecznem porozumieniu.

W rzeczywistości jednak układy od samego początku toczą się leniwie, konferencya w gruncie rzeczy nic nie zrobiła. To bowiem, że ułożono się co do przemytnictwa broni i prochu — jest zbyt mało, ażeby warto o tem mówić. „Tagebl. Berliński“ przyznaje, że wszystko, co dotąd konferencya zrobiła, nie warte funta prochu.

Układy rozbijają się o sprawę *policyi* w Marokku. Państwa europejskie, a z niemi Francya i Niemcy dobrze *wiedzą*, że wszelkie reformy wewnętrzne, finansów itd. zależą od zaprowadzenia wewnętrznego ładu i porządku, a to zależy od zorganizowania policyi.

Komu ją oddać? — Oto pytanie, nad rozwiązaniem którego walczą delegaci francuscy i niemieccy. Pierwotnie żądali Francuzi zupełnego zlecenia sobie sprawy policyi. O tem rozumie się Niemcy nie chcieli słyszeć, obawiając się, że z czasem Francya zagarnie zupełnie Marokko pod swoje panowanie. Wreszcie ustępuje Francya i godzi się na to, że sprawa policyi oddana zostanie jej i *Hiszpanii*. Ale i to nie podoba się Niemcom. Podejrzewają oni, że w takim razie i tak Francya zachowa główny wpływ na sprawy marokkańskie.

Dotąd jednakże Niemcy nie określają tego, czego oni właściwie chcą, a przyciśnięci do muru oświadczają, że żądają prawa do zorganizowania policyi dla *sułtana* Marokka, i to przy pomocy obcych instruktorów, wybranych albo z pośród państw drugorzędnych albo z upodobania sułtana.

Stanęła więc sprawa tak, że Francya nie zgodziła się na wybór instruktorów z pośród państw drugorzędnych, wobec czego delegat niemiecki wysunął na pierwszy plan: wolny wybór ze strony sułtana.

I ten projekt odrzuciła Francya, godząc się na udział w zorganizowaniu policyi w Marokku — oprócz Hiszpanii i *Włoch* także.

Na to także nie godzą się Niemcy. Wogóle konferencya Marokkańska przedstawia się, jako labirynt sprzecznych interesów Niemiec i Francyi. Cudem zaledwie dają się pogodzić. Dziw tylko, że oba państwa, a szczególnie Niemcy dla drobnej tej sprawy co chwila narażają na niebezpieczeństwo zerwania — pokój światowy.

W takich warunkach objął w niedzielę we *Francyi* nowy prezydent *Falliers* ster rządu wśród zwykłych ceremonii, nie wpadających w oko swoją okazałością, lecz imponujących swoją demokratyczną prostotą. Ustępujący z tego wysokiego stanowiska dotychczasowy prezydent *Loubet* dziękował przedstawicielem rządów obcych za zaufanie, jakiem go darzyli, ministrom za ich szczerą pomoc w rządach, a izbie deputowanych za to, że dzięki jej poparciu udawało mu się umacniać stosunki *przyjaźni* między Francyą i innymi narodami, że skutkiem tego izba poselska wzbudza we Francyi tę ufność, że z jej pomocą utrzymany zostanie *pokój* i zachowany *honor narodowy*.

W Anglii otwarty został parlament wśród zwykłych uroczystości. Brakło jednakże w gronie biorących udział w tych uroczystościach królowej, następcy i następczyni tronu, księcia i księżniczki Counaught nieobecnych z powodu pogrzebu króla duńskiego. Za to szczególne zainteresowanie budził fakt, że po raz *pierwszy* król ukazywał się publicznie, w otoczeniu ministrów *liberalnych*.

W mowie od tronu poruszył król Edward VII stosunek Anglii do zagranicy, jej przyjazne ze wszystkiemi państwami stosunki i nakreślił przyszły plan pracy parlamentu. Pierwsze zebranie minęło wśród objawów harmonii i zgody — oczywiście tylko tymczasowej i pozornej.

Przegląd prasy.

Sprawa polska wypłynęła z okazyi zebrania „rady koronnej“ znowu na wierzch. Potrzeba do tego było zaledwie krótkiej wzmianki organu ks. Bülowa „Nordd. Allgem. Ztg.“, że rada koronna radziła nad sprawą polską, ażeby wywołać w prasie niemieckiej obszerną dyskusyę.

Snać sprawa polska staje się dla Niemiec i dla Prus najwięcej palącą, która za najlżejszą wzmianką wprawia w ruch maszyneryę prasową niemiecką i zmusza ją do zabierania głosów. Centrowa „Germania“ otwarcie przyznaje, że sprawa nasza dla Prus jest istotnie

sprawą wielkiej wagi i doniosłości i pragnie, by błędy dotychczasowej antypolskiej polityki zostały naprawione.

Głośno jej w tem wtóruje „Berliner Zeitung am Mittag“, która „z zasadniczych powodów“ oświadcza się przeciwniczką obecnej antypolskiej polityki.

„Gdy nam nieraz prawiono — pisze między innemi dosłownie — straszne rzeczy o „polskiem gospodarstwie“, polskim nieporządku, chytrości, pijaństwie i innych grzechach, to mieliśmy zawsze swój sąd odrębny; widzieliśmy bowiem, tak w domu jak i na obczyźnie owe tysiące pilnych mężczyzn i kobiet, którzy, jako obieżysasi zaoszczędzali każdy zarobiony fenyg, o ile go nie musieli zużyć dla zaspokojenia głodu, na to, aby módz sobie zdobyć kawał ziemi na własność. Nie zakrawało to wcale na nieporządek ani na pijaństwo. Pomimo to byliśmy wobec polakożerców zawsze o tyle w niesłuszności, o ile oni zawsze twierdzili stanowczo, że Polakom brak wszelkiej zdolności organizacyjnej, wszelkiego ducha zbiorowości, wszelkiej sztuki tworzenia i utrzymywania państw. Przeciw temu nie można nigdy naprawdę nic powiedzieć, ponieważ żyjący ma zawsze słuszność, zatem Polacy jako synowie obumarłego państwa musieliby mieć niesłuszność. Bądź jak bądź było zasadnicze nasze stanowisko dość silne i pozostało takiem do dzisiaj, aby nam dowieść znów, że naród jakiś tylko wtenczas można wchłonąć w siebie, jeżeli się go wcieli w własną swoją kulturę, lecz nie, jeżeli się przez gwałtowny ucisk istniejących i wskutek tego warunkowego wskrzeszenia już drzemiących instynktów narodowych doprowadza go do zwartej świadomości opozycyjnej. Bogini wolności jest owym wielkim łącznikiem, łączącym z sobą narody, — nie zaś przemoc!

„Berl. Ztg. am Mittag“ opisuje w dalszym ciągu nasz rozwój ekonomiczny, wynosi pod niebiosa naszą „siłę organizacyjną“ pod względem ekonomicznym, dzięki której obroniliśmy się przed zalewem milionów kolonizacyjnych.

Podajemy głos ten tem chętniej, ponieważ wskazuje on wyraźnie na próżność zabiegów wrogiej nam polityki. To coprawda nie sprowadzi z drogi dotychczasowej polityki rządu, ale nam doda odwagi do wytrwania. A i to w naszem położeniu wiele jest warte.

* * *

Celem dokładnego zbadania niebezpieczeństwa grożącego zniemczeniem tym dzieciom polskim, które chodzą na przygotowawczą naukę do Sakramentów św. i wypośrodkowania, ilu księży uczy dzieci po niemiecku religii, ogłasza p. dr. Piotr Hylla z Katowic w wszystkich pismach górnośląskich artykuł pod tytułem: Pierwsza komunia św. dziatek polskich na Śląsku, i prosi o odpowiedzi na następujące pytania:

1) Ile dzieci chodziło w parafii do nauki przygotowawczej do spowiedzi świętej;
2) ile dzieci przystąpiło w czasie Wielkanocnym do Stołu Pańskiego;
3) ile dzieci chodziło na naukę polską, a ile na naukę niemiecką, a wreszcie
4) ile dzieci pochodzących z rodziców polskich chodziło na naukę niemiecką.

Sprawa ta ze względu na znaczną liczbę księży germanizatorów na G. Śląsku jest wielkiego znaczenia. Życzyć by istotnie należało, ażeby inicyatorowi tej myśli jak najwięcej i jak najdokładniejszych nadesłano odpowiedzi.

Prawdopodobnie smutnych dowie się społeczeństwo nasze szczegółów o germanizacyi dziatek polskich przez kościół katolicki na G. Śląsku. Lepiej atoli zajrzeć prawdzie w oczy i zdobyć się na obronę i naprawę istniejącego zła, aniżeli łudzić się tem, że tak źle jeszcze nie jest — i do naprawy się nie zabierać. Wtenczas niebezpieczeństwo rośnie i staje się z czasem tak wielkiem, że o zatamowaniu go mowy niema. Zatem brońmy się zawczasu!

* * *

Okólnik ks. Arcybiskupa nie schodzi wciąż jeszcze z łamów pism naszych. Zanikły tylko głosy o jakiejkolwiek akcyi ze strony duchowieństwa, a przynajmniej nie słychać nic o takiej akcyi publicznie. Nawet gazety milczą w tej sprawie.

Na stanowisku, jakie zajęliśmy względem okólnika w ostatnim numerze, a mianowicie, że ogranicza on niesłusznie przynależne prawa księży, stanął także w kilku obszernych artykułach *„Pielgrzym“*, pismo wychodzące w Prusach Zach. a mające ścisłą styczność z tamtejszemi kołami duchownemi.

„Pielgrzym“ nazywa okólnik ten „nieszczęsnem i niefortunnem rozporządzeniem“ i tłomaczy sobie wydanie go przez ks. Arcybiskupa jedynie „groźnym naporem i to najgorszego rodzaju“. Powiada on, że *„tak wymuszonego rozporządzenia nie potrzebuje nikt słuchać“*. Słusznie żałuje „Pielgrzym“, że ks. Arcybiskup nie oparł się z całą energią naciskowi rządu, bo — powiada — „kto raz wstąpi na drogę ustępstw, ten, kto wie, jak nisko się stoczy, kto wie, czy się kiedy zatrzyma“.

Tak pisze organ księży polskich w Prusach Zach. Słowa te godne są uwagi, pokazują bowiem, że okólnik ks. Arcybiskupa z powszechną spotkał się opozycyą.

Ten sam „Pielgrzym“ charakteryzuje położenie księży arcybiskupów gnieźnieńsko-poznańskich od chwili zagrabienia dzielnicy naszej pod rządy pruskie — jako bardzo trudne i przykre i pisze o tem dosłownie tak:

Prawie wszyscy arcybiskupi gnieźnieńsko-poznańscy od czasu podziału Polski smutne przechodzili koleje, piołunu gorzkości suto się napili. Ks. Arcybiskup Ignacy Krasicki w Berlinie musiał przesiadywać i tam też umarł. czy mu się ten pobyt tak podobał? Ależ gdzież, więcej więźniem on tam niejako był. — Następca jego ks. Arcybiskup Ignacy Raczyński musiał po wojnach napoleońskich uchodzić z swej gnieźnieńskiej rezydencyi; schronił się do brata swego zakonnego ks. biskupa Gołaszewskiego do Przemyśla — byli bowiem obaj Jezuitami — i tu w majątku biskupim w Brzozowie umarł na wygnaniu i po latach ciało jego w rodzinnem Obrzycku pochowano. Jeżeli za jego następców niby większa cisza i jakaś wolność panowała, to nie trzeba zapominać, że za czasów Arcybiskupów Tymoteusza Gorzeńskiego i Teofila Wolickiego — namiestnikiem Księstwa Poznańskiego był książę Radziwiłł, który, o ile mógł, starał się unikać wszelkich gwałtów i przymusu i szorstkości. — Za to ks. Arcybiskup Marcin Dunin był osadzony w twierdzy w Kołobrzegu — a następca jego ks. Arcybiskup Leon Przyłuski tylko wczesnej śmierci ma do zawdzięczenia, że mu nie wsadzono administratora z prawem następstwa, a jego nie usunięto na bok, na co się już zanosiło. — Jakim był los ks. kardynała Mieczysława Ledóchowskiego, wszyscy wiemy; dwa lata przesiedział we więzieniu ostrowskiem, a zacny, prawy i na wskroś sprawiedliwy ks. Arcybiskup Juliusz Dinder z zmartwienia prawie umarł, bo prawe jego i proste serce nie mogło przenieść na sobie widoku niesprawiedliwości, której dyecezye jego tak mnogo doznawały. — Ustępuje i ustępuje dzisiejszy arcybiskup na każdym kroku, ale czy nie nastąpi może nie za długo jakieś wymaganie rządowe, wobec którego on nie będzie zmuszony powiedzieć: nie! tego mi nie wolno uczynić! — Któż to zgadnie? A wtedy co? Jeżeli życie i zdrowie nadal dopisze, to w ra-

zie zatargu pójdzie albo doRzymu i może kardynałem zostanie, albo będzie usunięty na bok i opatowi z Monte Casino powierzy rząd administracyą obu archidyecezyi z prawem następstwa. Daj Boże! żeby tak się nie stało, aleć i na to bądźmy przygotowani; we *wszystkiem* ustępstwa być nie może, raz musi nastąpić non licet — nie wolno mi, a wtedy zatarg gotowy. — Piszemy się na te uwagi słowo w słowo.

* * *

Michałek niemiecki drży na każdą wieść o rozwoju polskości. Nic naturalniejszego. Kto z takim trudem i mozołem wnosił gmach praw wyjątkowych, kto za takie postępowanie sprzeczne z najelementarniejszemi zasadami postępu kultury i cywilizacyi nałykał się wstydu wobec całego świata, kto wyparł się wszelkich znamion i uczuć szlachetnych, i wzamian za to wszystko cięgi jeszcze odbiera, tego bez wątpienia — jak to mówią — szewska pasya brać musi, gdy widzi, że wszystkie te jego zabiegi na marne poszły, i nie tylko na marne ale nawet wprost przeciwko niemu się zwróciły.

To też „Pos. Tagebl." traci już wszelką fantazyę, odebrawszy z pod *Pleszewa* następującą wiadomość:

Gminy Grünewiese (?) i Gutehoffnung (?) utworzone zostały w r. 1783 pod nazwą „Pleszewskich Olędrów" przez osadników z okolicy Leszna, Wolsztyna i Kargowy. Przez długie lata osady te pozstały czysto niemieckiemi. Dopiero w ostatnich latach udało się Polakom zdobyć znaczną część ich ziemi na własność. Gmina Grünewiese liczyła w r. 1890 — 181 mieszkańców, 156 Niemców (ewangielików) i 25 Polaków. Cały zastęp Polaków tworzyła *jedna* rodzina składająca się z 6 głów i z służby, zatrudnionej u Niemców, a więc przebywającej w gminie tylko chwilowo . Dziś ten obraz znacznie się zmienił. Ostatnie zliczenie ludności wykazuje 139 Niemców a 71 Polaków, z pomiędzy których tylko 10 osób znajduje się na służbie, a 61 jest osiadłych na stałe. W r. 1890 tylko jedno gospodarstwo było w rękach polskich, dziś ich jest 7. W ostatnich 5 latach przeszło 156 mórg ziemi w ręce polskie. Gorzej jednakże wygląda sprawa w sąsiedniej wsi Gutehoffnung. W tej wsi było w r. 1890 — 2 gospodarzy i jedna rodzina robotnicza. Odtąd sprzedali Niemcy w ręce polskie 10 gospodarstw, objętości 448 mórg, t. zn. czwartą część całego obszaru gminnego. Gospodarstwa, które dawniej do jednego tylko należały właściciela Niemca, dziś są podzielone. Na kilku gospodarstwach niemieckich siedzi po dwóch gospodarzy polskich. Gospodarz Velter sprzedał w przeszłym roku 59 mórg ze swego 64-morgowego gospodarstwa Polakowi, na pozostałych kilku morgach wybudował dom i umieścił w nim 3 rodziny robotnicze polskie. Gdzie dawniej mieszkała jedna rodzina niemiecka — teraz mieszkają 4 polskie.

Niech do tego niemiecki Michałek doliczy przyszłe króliki polskie, a mamy nadzieję, że nie zdzierży chęci zajęczej, stuli słuchy i pomknie „ancykrystem" — na zachód między swoich. Może nam wierzyć, że jemu z tem byłoby najlepiej i najprzyjemniej.

„Straż".

Szeregi wrogów „Straży" pomnażają się z dniem każdym, im jaśniej, im wyraziściej uwydatnia się jej szlachetny cel, jej wysoce kulturalna i narodowa dążność.

Na to, że rząd pruski wszelkich używa sposobów, ażeby zatamować rozwój „Straży", byliśmy przygotowani. W tej myśli nacisk na ks. Arcybiskupa nie był nam niespodzianką.

By jednakże wrogami „Straży" okazali się ludzie, głoszący o sobie, że walczą za „równość, wolność i braterstwo" ludów, t. j. socyaliści, tego doprawdy nie było można przewidywać.

Ale dzieją się na świecie cuda, nie w przyrodzie ale w mózgach ludzkich i w sercach, kiedy obłęd pychy i samochwalstwa nimi zawładnie. Ten obłęd pychy i samochwalstwa od pewnego przeciągu czasu stał się udziałem socyalistów, a szczególnie bękarta socyalizmu niemieckiego, jakim jest socyalizm polski.

Nie utworzył ten socyalizm polski dotąd niczego, czemby się istotnie pochwalić mógł, zburzył natomiast w niejednym człowieku uposażonym z natury we wszelkie przymioty dobre umysłu i serca — wiarę w siebie i przyszłość i rzucił go w niezbadaną otchłań sprzecznych a nieświadomych, niezrozumiałych dla duszy polskiej uczuć i dążności.

Temu tylko obłędowi — niepohamowanemu i nie nakładającemu sobie żadnych więzów rozumu ni rozsądku — przypisać należy ostatni wybryk tych „naszych" socyalistów. I wynaleźli bodaj najfatalniejszy dla siebie punkt zaczepki — *„Straż"*. Napadli na „Straż" w katowickiej „Gaz. Robotniczej" w tak niesłychanie brutalny a zarazem głupi sposób, że to jedno już powinno wystarczyć szerokim masom ludu naszego szczególnie roboczego, by poznać bezdenną głupotę tych „przyjaciół" uciemiężonych i nieszczęśliwych.

Porównuje „Gaz. Rob." „Straż" z „Ostmarkenferajnem". To samo już nadaje napaści tej cechy niesłychanej prowokacyi całego naszego społeczeństwa. Mamy nadzieję, że społeczeństwo godnie na tę napaść odpowie i skorzysta z wieców „Straży", by wykazać kłamaną polskość „naszych" socyalistów nie tylko, lecz w ogóle ich szkodliwość dla naszej sprawy.

My na razie „Gaz. Robotniczej" to jedno przypominamy, o czem widocznie zapomniała, że „psie głosy nie idą pod niebiosy".

* * *

Straż a Związek Polaków. Wiadomo, że Rodacy nasi w Westfalii domagali się, ażeby „Straż", zanim rozpoczni agitacyę na obczyźnie (w Westfalii i Nadrenii), porozumiała się najpierw ze „Związkiem Polaków" istniejącym tamże prawie od lat 15.

Wobec tego wystósowała sekcya organizacyjna „Straży" do zarządu Związku list z zapytaniem, jakie stanowisko pragnie zająć Związek wobec „Straży".

Celem uchwalenia odpowiedzi zwołał zebranie Zarządu Związku na ub. niedzielę do Essen p. T. Kubiak, prezes Związku. Tutaj po trzechgodzinnych naradach uchwalono według „Wiarusa Polskiego" odpowiedź do „Straży", że *prozumienie* może nastąpić na następujących warunkach:

„Straż" pozostawia jako pole do pracy „Związkowi Polaków" prowincye na zachód do Łaby, wymienia mówców ze „Związkiem Polaków" oraz druki, podaje „Związkowi" wiadomości o parcelach, budynkach i innych nieruchomościach, będących na sprzedaż, na które „Związek Polaków" wyszukuje nabywców i w końcu pomaga „Związkowi Polaków" w trudniejszych sprawach obrony prawnej, za co „Związek Polaków" odpowiednią sumą przyczyni się do utrzymania biura „Straży."

Z odpowiedzi jedno przebija jasno, że „Związek" nie myśli o połączeniu się ze „Strażą" pod *jedną nazwą,* a czyni to według „Dziennika Polskiego" w Dortmundzie dla tego, ponieważ *„ludowcy w Poznaniu żądają tego, aby „Związek Polaków" zachował swoją samodzielność i nie łączył się ze „Strażą."*

Ciekawy to bądź co bądź argument. „Dz. Polski" dodaje, że wymieniono, powołując się na tę opinię wśród po-

znańskich ludowców, nazwisko jednego z wybitnych obywateli poznańskich.

Kogo? — pytamy. „Dz. Polski“ nie powinien nazwiska przemilczać, kwestya połączenia Związku ze Strażą tak daleko wychodzi po za interesy jakiejkolwiek partyi, że należy wiedzieć nazwisko ludzi, którzy nawet w tem partyjnego szykają interesu, by odstręczać od siebie organizacye *bezpartyjne — a narodowe!*

Mamy nadzieję, że sprawa ta wkrótce zostanie należycie wyświetloną.

* * *

„O potrzebie łączności Polaków na obczyźnie“ — taki temat konkursowy ogłosiła sekcya II (kulturalna) „Straży“.

Pierwszy to objaw jej życia, i niestety powiedzieć nie możemy, by był zbyt szczęśliwy. Kto zna obczyznę i nasze wychodźtwo, ten przyzna nam racyę, jeżeli powiemy, że temat ten przychodzi przynajmniej kilka lat za późno. Na obczyźnie dziś może tyle istnieje towarzystw, co u nas w kraju.

Są przecież tow. kościelne, są kółka śpiewackie, są sokoli, organizacye zawodowe — i liczne liczą zastępy członków. Dowód to, że poczucie potrzeby łączności jest wielkie, jest w pewnej mierze zaspokojone.

A o cóż by więcej chodziło? Chodziłoby naszem zdaniem więcej o to, by życie tych towarzystw wewnętrzne pobudzić do intenzywności, by towarzystwom tym dać możność samorzutkiego szerzenia — oświaty. A tego opracowanie tematu „dla czego rodacy na obczyźnie łączyć się mają“ — im nie da, jeżeli się ew. autorzy będą trzymali ściśle zakreślinych sobie granic.

Byłoby naszem zdaniem daleko pożyteczniej dla wychodźtwa naszego, gdyby „Straż“ postarała się o spis wszystkich na obczyźnie istniejących towarzystw, gdyby spis ten umiejętnie ułożyła i rozrzuciła go między tych, którzy na obczyznę idą, aby im wskazać drogę do towarzystw polskich, będących ostoją polskości — na wychodźtwie.

Może sekcya kulturalna „Straży“ uwagi nasze weźmie pod rozwagę i uczyni wtenczas to, co uważać będzie dla sprawy wychodźtwa za pożyteczniejsze, a dla sprawy naszej za donioślejsze i praktyczniejsze.

* * *

Wiece „Straży“ odbędą się w niedzielę dnia *25-go* b. m.

na *Wildzie* o godz. 12-tej w poł, na sali pana Patza. Przemawiać będą pp. poseł dr. Dziembowski, dr. Gantkowski i Karol Rzepecki,

w *Niewierzu* (w pow. szamotulskim) w szopie dominialnej o godzinie 2-giej po poł.,

w *Kcyni* (na pow. szubiński); przemawiać będzie p. Stanisław Zieliński,

w niedzielę, dnia *4-go marca*

w *Lehmwerder* na sali p. Schiphorsta (Fanhaus) o godz. 2-giej po poł. dla Grohn-Blumenthal i Lüssum.

Sekcya I. (organizacyjna) „Straży.“

* * *

Pierwszy wiec „Straży“ w Charlottenburgu pod Berlinem udał się według relacyi „Dz. Berlińskiego“ — pod każdym względem. Wiec zwabił mnóstwo rodaków i rodaczek, przemawiali p. Józef *Załachowski: o rozwoju* polskiej kolonii w Charlottenburgu, — poseł mec. dr. *Z. Dziembowski:* o celach i zadaniach „Straży,“ — p. dr. *Łabendziński*: o potrzebie łączności Polaków na obczyźnie. Owacyjnie powitano ks. prał. *Godlewskiego* z Warszawy, który w czasie wieca przybył na salę, i który w serdecznych słowach zachęcał rodaków do zachowania skarbów narodowych: *języka i wiary św.*, i cieszył się, że miał sposobność widzieć wśród wygnańców polskich taki zapał do narodowej sprawy. P. *J. Spychała* z Charlottenburga zachęcał do wzajemnej miłości i zgody, gdyż temi tylko zaletami zdołamy się obronić przed nawałą wrogów.

Ruch w Towarzystwach.

Pniewy. Tutejsze Towarzystwo Przemysłowców urządza w niedzielę, dnia 25-go b. m. na sali p. A. Skórnickiego na cel dobroczynny teatr amatorski. Odegrane będą następujące sztuki: „Radziwiłł w gościnie“, anegdota dramatyczna w trzech aktach przez J. I. Kraszewskiego, oraz „Qui pro quo“ czyli „Swaty faktora“ przez Błotnickiego z muzyką Fr. K. Zaremby. Początek przedstawienia o godzinie 7 i pół. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

O liczny udział prosi *Zarząd.*

Walne Zebranie Towarzystwa Ku Wspieraniu Urzędników Gospodarczych w Wielkiem Ks. Poznańskiem odbędzie się *w niedzielę, dnia 25 lutego 190г o godzinie 12 w południe* na sali Hotelu francuskiego.

Porządek obrad:

1. Zagajenie przez Prezesa Rady Nadzorczej.
2. Wybór Sekretarza Walnego Zebrania.
3. Przedłożenie i sprawdzenie mandatów pp. Delegatów.
4. Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania.
5. Sprawozdanie kasowe oraz z czynności za rok 1905.
6. Sprawozdanie komisyi rewizyjnej z swej czynności.
7. Sprawa nowych ustaw.
8. Wolne wnioski.

Zarząd główny.

Kaźmirz Brownsford, prezes. *Józef Winiewicz,* sekretarz.

Stanisław Chrzanowski. Franciszek hr. Kwilecki. W. Magowski.

Wiadomości.

* *Szanownych Czytelników przepraszamy uprzejmie, że w tym numerze „Pracy“ nie podaliśmy dalszego ciągu „Czarnej księgi.“ Nie mogliśmy tego uczynić dla nawału innego bieżącego materyału. W miejsce tego możemy Sz. Czytelników powiadomić już dziś, że w przyszłym numerze „Pracy“ będzie dokończenie „Czarnej księgi“ — w dłuższym odcinku.*

Redakcya.

* **Do kasy** prowincyonalnego komitetu wyborczego wpłaciły składkę na rok 1905 powiaty: pleszewski, śremski, bydgoski wiejski, wągrowiecki, międzychodzki, rawicki, mogilnicki i żniński; *częściową składkę powiaty:* jarociński, gostyński, kępiński, śmigielski, szubiński, ostrowski, gnieźnieński, odolanowski, czarnkowski, krotoszyński i witkowski.

Poznań, dnia 16 lutego 1906.

M. Więckowski, skarbnik.

* **Doskonałe kupno** nadarza się dla Polaka z rąk niemieckich: oberża, 9 mórg pszennej ziemi, kuźnia z domem pomieszkalnym. Budynki nowe. W miejscu kościół polski, 1500 mieszkańców Polaków, stacya kolei, parafia znaczna. Cena 33—35 tysięcy marek. Miejscowość wskaże — Redakcya „Pracy“.

* **Sprostowanie:** Pan *Koshanowski,* zaczepiony w korespondencyi z Bruckhausen przez p. Idziego Moskala i obwiniony o udział w konszachtach przy sprzedaży *Przedborowa i Drożdżyn,* a ew. także *Mielżyna* — na rzecz

komisyi kolonizacyjnej donosi nam, że jest to nieprawdą.

Według doniesienia p. K. Przedborów i Drożdżyny przeszły na kolonizacyę skutkiem nieporozumień rodzinnych, a szczególnie za przyczynieniem pp. Romana i Piotra *Karśnickich.* Pan Kochanowski zaprzecza wszelkiemu udziałowi w sprzedaży Mielżyna, gdyż z p. Stanisławem Dobrogoyskim od lat 10 żadnej nie miał styczności. — Wiadomości te podajemy na odpowiedzialność p. Kochanowskiego.

* **Z teatru.** Piątek będzie u nas atrakcyjnym, dnia tego bowiem odbędzie się *koncert* 10-cio letniego artysty-skrzypka *Zdzisława Jahnkego* i p. *Mieczysława Eichstaedta,* pianisty. Artyści naszej sceny odegrają poprzednio wykwintną jednoaktówkę Józefa Kościelskiego: *„Na klęczkach.“*

W sobotę najbliższą wystawia nasz teatr interesującą nowość: Na premierę składają się trzy utwory jednoaktowe młodego, ale już ogólnie uznanego i cenionego dramaturga i krytyka *Adolfa Neuwerta-Nowaczyńskiego.* Jednoaktówki te grane były przez trzy sceny polskie, a dwie z nich, tj. *„Prawo mimiery“* i *„Walc barona Molskiego“* zyskały wielkie powodzenie w Warszawie i w Krakowie. Trzecia p. t. *„Dom kalek,“* komedya krakowska stała się ulubioną sztuką teatrów amatorskich.

W jednoaktówkach tych wszystkie siły naszego teatru będą miały sposobność odtworzyć szereg figur oryginalnych, którym pierwszorzędne zalety prawdy, rzeczywistości czy humoru przyznała krytyka warszawska i krakowska. Zaznaczyć mi wypada, że autor „Smoczego gniazda“ i „Jegomości Reja w Babinie“ p. Neuwert-Nowaczyński bawi obecnie w Poznaniu i będzie osobiście pomocnym w reżyserowaniu swych utworów. Złożył też do waniu swych utworów. Złożył też dyrektorowi do rąk swą komedyę historyczną „Kajetana Węgierskiego“, którą dnia 23-go marca wystawia warszawski teatr Rozmaitości, a 17 marca teatr krakowski.

W niedzielę po południu o godz. 3-ciej przepiękna *„Lygia,“* tragedya z czasów Nerona po *cenach do połowy zniżonych* — tego dnia wieczorem widowisko fantastyczno-humorystyczne p. t. *„Gałganduch czyli trójka hultajska“* przez Nestroya, z muzyką, śpiewami i tańcami.

* **Z Szamotuł** odebraliśmy obszerną korespondencyą opisującą szczegółowo miejscowe stosunki. Wyjmujemy z niej te sprawy, które mogą zainteresować szerszy ogół: Założone zostało w Szamotułach *Tow. teatralno-humorystyczne.* Przedstawienia tego Tow. udawały się znakomicie, gdyż posiadało ono najlepsze siły amatorskie. Ostatnie przedstawienie przyniosło Tow. 300 mrk. zysku! Z tego jednak Tow. poświęciło 200 mrk. na urządzenie sobie „za trudy i mozoły“ kolacyi z winną podlewką. (Czy to Tow. nie szkoda takiej ładnej sumki na kolacyjkę — Red.). — Były różne także zabawy i jak zawsze przesada — w strojach, choć w domu krucho. — Natomiast Szamotulacy na cele dobroczynne mają kiesę zamkniętą. Korespondent nasz poleca im rubrykę „ofiarności“ w „Pracy“ (chwali się!).

Jeden jednak objaw uderza nas sympatycznie, oto, że w Sz. z roku na rok znachodzi się co raz mniej iluminatorów pośród Polaków. Zajście podczas ostatniej iluminacyi powinno resztce odebrać humor do iluminowania. Pewien kupiec wydekorował okno swoje, co się patrzy, aż podpadło to dwom oficerom. Oglądali, podziwiali, lecz gdy spojrzeli na firmę — polską, parsknęli śmiechem. Może wypadek ten pouczy naszych „niepoprawnych“ w tem, że Niemcy z ich naiwności śmieją się, bo i tak nie wierzą, by Polacy kochali faterland i cesarza tak bardzo, żeby iluminacyę ich uważać można jako hołd — serca i szacunku.

Są także w Sz. — karty i bilard. A jakże, gdzieby tego na małem mieście brakło!

Ciekawie jednakże zabrali się Szamotulacy do propagandy hasła „swój do swego.“ Oto kazali drukować karteczki z tem hasłem, rozsyłali je po wsiach i rozdawali w składach. Żydek jakiś karteczkę taką od „życzliwej“ klientki-Polki (naturalnie!) dostał, udali się więc zagrożeni jewreje do policyi, która na jednego z obywateli nałożyła 60 mrk. kary. W sprawie tej toczy się obecnie proces. Oskarżeni przekonani są, że zostaną uwolnieni, bo sąd im żadnej winy dowieść nie może.

W niedzielę 25-go b. m. odbędzie się zabawa robotników. Zabawy te zawsze się udają znakomicie. Korespondent nas zaprasza na nią uprzejmie, bo krzesła rezerwowane tylko 1,50 m. kosztują. — Dziękujemy za uprzejmość, przyrzekamy korzystać innym razem, a tymczasem polecamy zabawę wszystkim obywatelom Szamotuł i okolicy. Warto bowiem przyjrzeć się zapowiedzianym sztukom, jak „Niema to jak handel wódką,“ „Berek przed sądem“ i „Sposób na gadatliwe kobiety!“

(Dziękujemy, pozdrawiamy i prosimy o więcej. — Red.)

* **Wielichowo.** Niedawno temu odbyła się w pobliskiem *Parzęczewie* uroczystość pirwszej Mszy św. ks. Wł. Mierzejewskiego ze zgromadzenia ks. Misyonarzy w Krakowie. Podczas Mszy św. asystowali młodemu lewicie miejscowy ks. prob. Zieliński, ks. radca Kolasiński, ks. Neumann, ks. prob. dr. Sobkowski, ks. Lewicki i ks. Gintrowski. Udział wiernych był nadzwyczaj liczny.

* **Pożar cukrowni kruszwickiej.** W poniedziałek o godzinie 6 i pół wieczorem wybuchł ogień w cukrowni w Kruszwicy, który się rozszerzył z ogromną szybkością na cały gmach fabryczny. Zniszczeniu uległy wszystkie maszyny oraz aparaty; zapasy cukru zostały ocalone. Szkoda wynosi około 1 i pół miliona marek, którą ponosi kilka Towarzystw asekuracyjnych. — Przyczyna pożaru dotąd niewyjaśniona, chociaż nie brak pogłosek, że zachodzi podpalenie. Prace nad odbudowaniem fabryki będą, jak się dowiadujemy, natychmiast podjęte, a fabryka zostanie w bieg puszczoną jeszcze przed rozpoczęciem następnej kampanii. Dostawcy buraków nie będą przeto narażeni na zmudę i straty.

* **Nakło.** Pierwsza Wielkapolanka stud. med. panna Stanisława Cichówna, córka tutejszego budowniczego Józefa Cichego złożyła egzamin państwowy w Monachium z odznaczeniem jako lekarka praktyczna medycyny.

* **Z Trzemeszna** donoszą do „Dzien. Kuj.“, że przewodniczący tamtejszego Landwehrvereinu p. sędzia H. zwołał przewodniczących tak niemieckich jak i *polskich Towarzystw* prócz Sokołów, ażeby się oświadczyli, czy ich Towarzystwa wezmą udział w obchodzie 25-letniej rocznicy zaślubin cesarskich. Z Towarzystw polskich oswiadczyli się w bardzo lojalny sposób za wzięciem udziału w obchodzie uroczystości pp. reprezentanci dwóch Towarzystw.

A więc w uroczystym „fakelzugu“ pójdą Polacy — ci Polacy, którym policya nie pozwala na urządzenie skromnych zabaw, których wiecznie kłuje szpilkami, i w których system pruski wali młotem praw wyjątkowych.

* **W Jarocinie** odbyły się 15-go b. m. wybory jednego członka zarządu tamtejszej kasy chorych. Niestety wskutek ospałości i lękliwości wyborców polskich Polak przepadł, bo niektórzy pozostali zupełnie obojętnymi na wybory, inni zaś znowu nie poszli na nie, żeby się Niemcy na nich nie pogniewali. Z Żerkowa nikt się nie stawił, a tylko Nowemiasto dopisało. To też żyd otrzymał 5 głosów więcej niż kandydat polski.

* **Ostrów.** Przy licznym udziale wiernych oraz rodziny odprawił w tutejszym starym kościele farnym pierwszą mszę św. neopresbyter ks. Fr. Grzesiek z Podpłomyk. Asystowali mu do mszy św. ks. dziekan Śmigielski jako presbyter, jako dyakoni ks. ks. Urbański i Kowalczyk. W serdecznych słowach przemówił do prymicyanta ks. Rybicki.

* **Ostrzeszów.** Na początku bieżącego miesiąca zwolano do Ostrzeszowa „zebranie niemieckie‟ celem założenia miejscowej grupy „Ostmarki‟. Nazwiska podpisanych pod odnośną odezwą przekonują nas, że główną podporą i głównymi propagatorami bractwa trzech liter są urzędnicy, którym widocznie zależy na utrzymaniu obecnego naprężonego stosunku. Odezwę podpisało 7 panów mianowicie: Michalik kantor, Pohl kierownik stacyi kolejowej, sławny pastor Rohde, Siegling, kontroler katastru, Suchsdorf, inspektor szkolny, Vehling, pocztmistrz i Wanjura, *sędzia oraz krewniak kanonika* kapituły poznańskiej.

Poza temi nazwiskami ani jednego kupca lub rzemieślnika lub jakiegokolwiek innego Niemca nie znachodzimy. A pocóż to wszelkie deklaracye, że działalność HKT jest tylko działalnością „obronną‟ społeczeństwa niemieckiego przeciw „zaborczości‟ żywiołu polskiego? Przecież urzędnicy chyba sami „społeczeństwa‟ nie tworzą?! — jakie zaś intencye ci właśnie mają w organizowaniu hakaty — to możemy sobie sami dopowiedzieć.

(*Z.*)

* **Toruń.** Przy nadzwyczaj licznym udziale członków odbyło się tutaj na sali „Muzeum‟ roczne walne zebranie „*Tow. Naukowego na Prusy Zach.*‟ pod przewodnictwem przewielebnego ks. prob. dr. Kujota. Zebrani uczcili przez powstanie pamięć zmarłych w ub. r. członków, między innymi wielce około Tow. zasłużonego ś. p. dr. *Jaworowicza* oraz ks. kan. Bieleckiego, ks. Galla, ks. Gardzielewskiego, ks. Worzałła i dr. Rogali z Kamienia. Tow. liczy obecnie 468 członków. Przyrost w r. ub. wynosi pokaźną liczbę 73, ubytek 11. Sam ks. Chmielewski z Chełmna pozyskał przeszło 30. W kasie posiada Tow. 3662,69 mk. majątku oraz liczne zbiory i wydawnictwa. — Celem dokładnego rozpatrzenia wniosku zmiany Tow. na *spółkę* wybrano komisyę z Zarządu oraz pp. ks. Bolta, mec. Łaszewskiego i dr. Rzepnikowskiego. W miejsce ś. p. dr. Jaworowicza wybrano skarbnikiem p. Ludwika Ślaskiego z Trzebcza.

— We wtorek odbył się tutaj *XXXIX sejmik gospodarski* na Prusy Zach. Obrady zagaił p. Sczaniecki z Nawry a przewodniczył im p. Leon Hulewicz. Wykład „o najważniejszych przepisach ustawy osadniczej‟ wygłosił p. mec. Mieczkowski. Udział w tegorocznym zjeździe był bardzo liczny tak panów jak i pań, to też udał się znakomicie zaaranżowany po sejmiku bal.

* **Z pod Radzyna** (Prus. Zach.) donoszą „Pielgrzymowi‟, że kolonizacya zwróciła swe oczy na wieś kościelną *Okonie* i stara się tamże o wykupienie Polaków. Z polecenia (tak się przynajmniej wydaje) kolonizacyi był w tych dniach wysłannik w Okoninie, który namawiał Polaków do sprzedaży ziemi swej kolonizacyi i zbierał w dowód zgody na taką sprzedaż podpisy. *Trzech* właścicieli Polaków podobno się podpisało na taką zgodę. „Pielgrzym‟ przestrzega ich przed sprzedażą, gdyż ucierpi na tem i tak już nie wielka parafia okonińska. Oby się upamiętali!

* **Pr. Starogard** (Prusy Zach.). Dnia 2-go b. m. odbył się w jednej polsko-katolickiej restauracyi t. zw. „Bockbierfest‟, na który przybyło dość dużo zaproszonych gości. Dużo odbywa się takich festynów, lecz.... „o zgrozo!‟ nie tego rodzaju, jaki dnia 2-go b. m. się odbył.

Otóż gospodarz „*dbały*‟ o swój interes, zaangażował celem złudzenia i zachęty gości (*z wykluczeniem żon etc.*) 5 kelnerek z dużego miasta z lokalu lampy „kolorowej‟ i tem demoralizowaniem zadowolnił niejednego gościa, z wyjątkiem tych, którym tamże 20 lub 30 marek skradziono, pominąwszy mauszelków etc.

Takie postępowanie gospodarza powinno być karygodnem wobec prawa, wzgardą wobec ludzi, tem więcej „polsko-katolickich‟, gdyż właśnie święto Oczyszczenia P. M. uczcił ów gospodarz w tak *ohydny i podły* sposób. Na wyklęcie z kościoła zasługuje ów gospodarz, dbały tylko o kieszeń, a przynajmniej na to, abyśmy unikali tak „brudnego‟ lokalu, tem więcej towarzystwa katolickie pod dyrekcyą Jaśnie Wielm. X. Dziekana.

Szan. Redakcye innych pism proszę o łask. powtórzenie.

Jeden za wielu.

* **Hamborn** (nad Renem). (Sokół). W grudniu r. 1904 założone zostało tutaj Tow. gimn. „Sokół‟. Rozwija się ono znakomicie i liczy dziś prawie 100 druhów. Wzięła je atoli od razu policya w swą opiekę, śledzi je, tak że nie może uzyskać żadnego odpowiedniego lokalu. Pomimo tego druhowie zadawalają się małą salką i chodzą na ćwiczenia nawet po za miasto. Spotkał nas teraz wielki smutek, zabrał bowiem z grona naszego Bóg młodego druha, liczył dopiero lat 21. Cześć jego pamięci!

Z powodu uwięzienia Szan. redaktora „Pracy‟ zasyłam Redakcyi wyrazy współczucia.

Jan Świtalski.

Od Red. Za wyrazy współczucia dziękujemy serdecznie i postaramy się przesłać je naszemu nieszczęśliwemu koledze, cierpiącemu za sprawę naszą koledze, cierpiącemu za wspólną sprawę naszą kaźń więzienną. Będą one mu wszystkich rodaków w Hamborn.

* **Berlin.** *Wiec dla Polaków-katolików parafii św Sebastyana i kościoła św. Józefa* odbędzie się w niedzielę dnia 25 lutego o godz. 1 w południe na sali Bockbrauerei II przy Chaussestr. 58 (tuż przy Weddigplatz). Na porządku obrad: sprawozdanie komisyi kościelnej i wykład o „stosunkach religijnych i obyczajowych w północnej dzielnicy Berlina‟.

* **Lipsk.** *Wiec polski* odbędzie się tutaj z ramienia komitetu Politycznego na Berlin i Brandenburgią w niedzielę dnia 25-go lutego o godz. 12-tej w poł. w lokalu *Thalia przy Elsterstr 42.* Na porządku obrad sprawa Polaków na obczyźnie i sprawa „Straży‟. Czytelników naszych gorąco zachęcamy do udziału w tych wiecach.

Od Redakcyi.

Panu Wal... w Marksloh. Wszelkie fundusze w kasach publicznych i prywatnych (bankach, spółkach i t. d.) są w razie wojny bezpieczne. Wojska zajmują tylko majątek państwowy, kasy podatkowe, kasy wojskowe i t. p.

Panu kowalowi z W. Pszczyny: Adres patrona kółek włościańskich jest: J. Chłapowski — Rzegocin; albo: Brownsford, Poznań — Posen, ul. Ogrodowa — Gartenstr. 11. („Poradnik Gospodarczy‟).

— *Tow. polsko-katolickie w Wrocławiu* prosimy o podanie nam swego lokalu, tak, abyśmy mogli donieść o tem w przyszłym numerze. Naprzód dziękujemy.

— *Panu J. Br. w K.* Podamy w następnym numerze.

Pani M. Gośl... w Kąk. Wybaczy Łaskawa Pani, lecz p. Sew. Wrzesińskiego nie można mieszać — z pp. Sierpińską i Gulińską. Pan W. znany jest jako dobry patryota-narodowiec, a tamte to agitatorki socyalistyczne. W polemice chodziło nie o krytykę tendencyi p. Beinowej, lecz o niejasną formę jej listu. Pani B. w liście swoim

się oburza na młode panienki z Warszawy, ale co jej oburzenie wywołało, to pozostawia w tajemnicy. No, a przecież przyzna Łaskawa Pani, że mierzyć wartość pisma wyglądem redaktora to głupstwo wprawdzie, ale większe głupstwo donosić o tem — w poważnem piśmie. — Ton polemiki był — naszem zdaniem — przyzwoitszy od tonu polemiki „Dz. Pozn.“, kiedy piorunuje z delfijskiego stolca Pytyi na — przeciwników swoich politycznych. Przyzna Ł. Pani — nie prawda?

S. R. 100 w K. Odpowiemy w następnym numerze.

Panu R. K. w Kali. Umieścimy w przyszłym numerze „Pracy“. Dziękujemy.

Panu J. W. w Komorzu. Według tymczasowych informacyi garbarni takiej tu w Poznaniu niema. Dokładną odpowiedź damy Panu w następnym numerze.

Panu W. Śmiśniewiczowi w Środzie. Zapytanie Pańskie wchodzi zbytnio w szczegóły, ażebyśmy mogli na każde pytanie dostatecznie odpowiedzieć. Sprawa ta sądzimy posiada dość ogólnego znaczenia, ażeby Pan się mógł z nią zwrócić do ks. patrona Wawrzyniaka — Poznań, Św. Marcin 69. Naszem zdaniem spółka nie potrzebowała czekać konkursu, aby owego członka wykluczać. Mogła to była uczynić z chwilą, gdy się przekonała o jego niewypłacalności. W takim razie udział i dywidenda byłyby zlikwidowane przed ogłoszeniem konkursu. Oczywiście, że spółka ma równe prawa z innymi wierzycielami i może pretensye swoje zgłaszać do masy konkursowej.

Panu Wal. Kl. w Dąbrówce. Niech się Pan uda do patrona Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych — ks. prał. Wawrzyniaka w Mogilnie. Adres: Jaśnie Wielmożny ks. Prałat Wawrzyniak — Poznań — Posen — św. Marcin — S. Martinstr. 69.

Do Gostynia. Prosimy o podanie nam mistrza szewskiego, który wyrabia buty z długiemi cholewami, całe wewnątrz filcem wykładane, z podeszwą z drzewa. Pocztówki prosimy adresować: Red. „Praca“ — Poznań — Posen — Rycerska — Ritterstrasse 38.

Panu Dobr. w Prusinowie. List Pański odebraliśmy. To, że p. Kochanowski nie posiadał ziemi i przefrymarczyć jej nie mógł, nie zaprzecza faktowi podanemu przez naszego korespondenta, że przyczynił się do sprzedaży Drożdżyn i Przedborowa — może do spółki z nauczycielką domową, Niemką naturalnie, niejakąś p. Berką?! — Inne wiadomości zgadzają się bezwarunkowo z prawdą. Nasz korespondent oddaje należyty szacunek ojcu sprzedawczyka Stanisława Dobrogoyskiego — ś. p. Stefanowi Dobrogoyskiemu. Pana Stanisława Dobr.... lepiej nie brać w obronę, bo gdyby wszystkie jego sprawki wyszły na jaw — byłoby nie mało zgorszenia...... Sapienti sat.

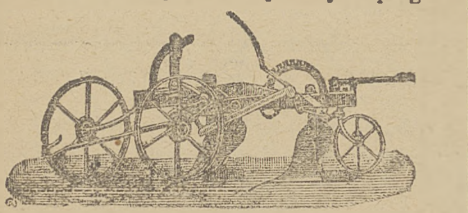
Reklamy.

Firma Wichrowski i Święcicki (właściciel Stanisław Święcicki, na Piekarach nr. 7 — fabryka papierosów i hurtowny skład cygar poleca w stale zamieszczanem ogłoszeniu *rosyjskie tytunie* znanych fabryk G. Aszkinasi w Odesie i Towarzystwa S. Gabaj w Moskwie w wielkim wyborze. Generalna agentura i główny skład.

J. Chełmikowski — handel żelaza, specyalność narzędzia dla rzemieślników — główny skład przy ulicy Półwiejskiej nr. 35, filia przy ulicy św Marcina nr. 45 — ma na składzie między innemi *narzędzia dla stolarzy, cieśli, garncarzy, sztukatorów i t. d.* Bliższe szczegóły zamieszczone są w stale ogłaszanym inzeracie.

Renomowana firma „*J. Chełmikowski*“, której właściciel jest obrotny, skrzętny i rzutki kupiec, ma między innemi i tę wielką zasługę, że wydała w ostatnim czasie *cennik narzędzi dla rzemieślników, w którym dziesiątki nazw niemieckich, używanych przez polskich rzemieślników, a zawartych dotąd w dawniejszych rozmaitych cennikach, wyrugował, zastępując takowe nazwami czysto polskiemi. Cennik ten wysyła p. Józef Chełmikowski każdemu na życzenie bezpłatnie.* Niestety! koła nasze rzemieślnicze zamiast się cennikiem polskim zainteresować, traktują go po macaszemu, a przecież sprawa ta zasługuje na zainteresowanie szerszej publiczności. Nie wątpimy więc, że Cennikiem p. Ch. zajmią się gorliwie Towarzystwa przemysłowe zarządy cechów i t. p., bo to jest obowiązkiem naszym społeczno-narodowym.

Pługi dwu i trzyskibowe, patentu Schütz & Bethke, najnowszej konstrukcyi. Każdy z tych pługów



jest tak urządzony, iż w razie potrzeby można go użyć jako dwu lub trzyskibowy. Dotychczas sprzedałem ich około 3800, co najlepszem ich poleceniem. 99

„FENIX“, patentowany pług piętrowy samochód, do głębokiej orki. Bardzo rozpowszechniony, zaleca się *lekkim chodem i szybkim, a łatwym sposobem ustawiania głębokości orki.*



Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie

A. Bryliński, *Poznań, Rycerska ul. 11a.* Telefon Nr. 69.

Spółka Melioracyjna

w Poznaniu

Bismarcka ulica 8 I.

1) wykonuje projekta do drenowania większych i mniejszych posiadłości, generalne i specjalne plany dla Spółek drenarskich i załatwia wszystkie ze zakładaniem Spółek drenarskich połączone formalności i korespondencye,
2) wykonuje projekta do odwadniania i nawadniania łąk podług najnowszych doświadczeń na tem polu,
3) wykonuje powyższe melioracye pod dozorem doświadczonych szachtmistrzów i aprobowanych państwowych inżynierów,
4) wykonuje wszelkie prace miernicze, jako to: nowe pomiary, regulacye granic, podział pól, roboty przedwstępne do budowania dróg i kolei.

Na poszczególne wnioski podaje swe warunki i kosztorysy. 43

Warunki spłat najdogodniejsze.

Czeladnik piek.

zdrów, uczciwy, który potrafi samodzielnie pracować, otrzyma zaraz lub do 1 marca posadę za dobrą zapłatą.

Emanuel Mitko, piekarz. *Bottrop*, Feldstrasse 8.

Potrzebuję do mego handlu bławatów i konfekcyi

ucznia

sprytnego i z dobremi wiadomościami szkolnemi 116

A. W. Wodniałowski, *Ostrzeszów* (Schildberg i/P.)

---

2 uczni

chcących się wyuczyć dokładnie blacharstwa, przyjmie zaraz 117

Julian Reiniger,

mistrz blacharski, Puk.

Czeladnik krawiecki

na duże sztuki i 121

uczeń

mogą się natychmiast zgłosić u *M. Koszela*, mistrza krawieckiego *w Bytomiu* (Beuthen Ober-Schl.) Pfarrstrasse 2.

Chłopcy,

uczęszczający do szkół w Bydgoszczy oraz

studenci

mający zamiar odwiedzać nowo tu założoną akademią agronomiczną przyjmie na stancyą z troskliwą opieką nowo urządzony pensyonat w Bydgoszczy. Zgłoszenia pod **A. W. 101** do Ekspedycyi „Pracy“. 72

Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

WIELKI SKŁAD

Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119

UCZNIA

poszukuje do mej drogeryi medycynalnej. Uczniowie, którzy się już uczyli mają pierwszeństwo. Zgłoszenia upr. się w niemieckim języku.

B. Bautze, Drogerya Kreuzburg O/S 104

Poszukuję zdolnego siodlarza

na robotę pasową, praca stała, przy uzdolnieniu za wysoką płacą. 71

Fabryka pasów. Z. Mazurkiewicz Poznań, ul. Wiktoryi 7.

Kaszel, chrypkę, zaflegmienie, ból gardła

usunąć można za pomocą moich znakomitych

cukierków miodowo-żywokostowych.

Cukierki te są wyrabiane z najprzedniejszego miodu akacyi i wyskoku rośliny żywokostu (Symphytum officinale.) Wyskok ten ma te zalety, że jest zupełnie nieszkodliwy a doskonały na wszelkie cierpienia w skutek zaziębienia, pochodzące u dorosłych również i dzieci. Do nabycia w paczkach po **15 fen.** i **30 fen.** w mej drogeryi, również w wielu innych drogeryach i składach kolonialnych tak w Poznaniu jak i na prowincyi. 116

Aptekarza

Z. RITTERA *Drogerya i chem.-techn. laboratoryum*

Poznań, św. Marcin 20.

Kaszel,

chrypkę, katar, astmę (dychawicę) ból w piersiach, leczy skutecznie herbata

księdza Kneippa

ruski ziest

Znak ochronny krzyż z kotwicą. Paczka 1 mk. Za 3 mk. franko w dom wysyła 283

J. Zmijewski, Graudenz 3.

W moim handlu kolonialnym i destylacyi, wakuje posada 107

UCZNIA oraz **WOLONTARYUSZA**

zaraz lub od 1 kwietnia 1906. Warunek polski język.

Oferty od syna porządnych rodziców przyjmie

P. Baruch, Jarocin.

Piękny, wielki

pokój

nieumeblowany z osobnem wejściem, ile możności z usługą, potrzebny od 1 marca. Zgłoszenia przyjmuje kantor ogł. Réclame 38 **pod literami M. 100.**

Poszukuje natychmiast żonatego lub samotnego, dzielnego w swym fachu

tokarza. 124

Koż. Deskowski, Witkowo. Parowa fabryka mebli.

Pomocnika cukierniczy 106

młody, pilny, przystojny i czysty niechaj się zgłosi na trwałą, dobrą posadę.

B. Danielewski

Poznań, Wilhelmowska 5.

Czeladnika krawieckiego

na duże sztuki i stałą pracę, poszukuje zaraz

J. Karpiński

Śmigiel. 95

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Flens, (Hotel) towary kolonialne, cygary, tytunie i t. d.

Bydgoszcz.

Ul. Fryderykowska 41.

JAN GŁOWIŃSKI.

Skład sukna, wykonywanie podług miary, gwarancya dobrego leżenia. Konfekcya męzka i dla chłopców.

Gniezno.

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

J. WIŚNIEWSKI,

Księgarnia — ul. Tumska 3.

Narożnik ulicy Horna i Nowej Nr. 6
Filia w Wrześni, ul. Pocztowa 192

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

P. Gdeczyk z d. **Eitner,**

założony 1879 r.

poleca wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.

Kępno.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

Edmund Karłowski.

Kostrzyn.

Michał Woźny

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustki, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy, gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Kościan

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

Stanisław Augustyniak

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d. Skład dzwon bukowych. Papy na dachy.

Miejska Górka.

A. Wybieralski.

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

Pobiedziska.

M. Koczorowicz

w rynku poleca obuwie od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych. Swój do swego!

Kawicz.

J. Mroczkowski.

Skład tow. kolonialnych, delikatesów, herbaty, araków, wódek i cygar. **Handel win.** Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie oliwy do machin etc.

UCZNIA

syna porządnych rodziców z odpowiedniem wykształceniem poszukuje od 1 kwietnia lub prędzej. 70

Centralna Drogerya.

I. Grochowski

Jarocin.

Starszego, dobrze poleconego

pomocnika

obeznanego dokładnie z handlem żelaza, sprzętów kuchennych i materyałów budowlanych, przyjmie od 1-go marca lub kwietnia r. b.

W. Kozłowicz

w Inowrocławiu. 75

Potrzebuję do mego handlu bławatów, płócien, bielizny, sukna i konfekcyi mężkiej 92

ucznia,

inteligentnego i sprytnego młodzieńca.

K. Gąsowski,

Kościan (Kosten i P.)

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Dwudziestoośmioletnie wygnanie

czyli

ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.

Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

4)

(Ciąg dalszy.)

Ale widocznie byłem zmięszany, a nie oczekując tak okropnego odkrycia, zaczerwieniłem się po same uszy i czułem, że mi krew uderzyła do głowy.

Cała komisya nie mogła niezauważać widocznego mojego pomięszania i źle udanego kłamstwa. Pan prezes przeto wyszedłszy z granic, zapomniał na własną godność, a krzycząc na mnie użył wyrazu, którego nigdy dotąd nie słyszałem.

Oburzony jego słowy i tonem, równie zapomniawszy o wszystkiem, poskoczyłem do niego, i w uniesieniu najwyższej rozpaczy i wściekłego gniewu, krzyknąłem:

— Szanuj! jeżeli chcesz być szanowanym!... Róbcie ze mną to, co wam prawo nakazuje, inaczej ostrzegam, że żadnej osobistości nie znoszę.

I tak grożąc mu pod nos, uderzyłem w stół pięścią, i z całą gwałtownością ryknąłem:

— Tak jest! Migurski jestem!

Przyznam się wam, że tylko rozpacz wywołała ze mnie podobne słowo. Sam nie wiedziałem co się ze mną zrobiło. Ochłonąwszy jednak nieco, poczułem, że jakiś ciężar ustąpił z mojego serca. Nie uwierzycie bowiem moi kochani, co to jest kłamać, i jak to wiele kosztuje.

Członkowie tej szanownej komisyi, byli zupełnie podobni do naszych żydów, z drobnostkami po zajezdnych domach chodzących. Ich wypychaj, szturchaj, pkaj i pluj w oczy, oni ci wszystko przebaczą, i tysiące jeszcze grzeczności powiedzą, bylebyś kupił u nich naparstek lub grzebyczek do włosów. Tak i oni, sądząc po mojem uniesieniu wnosić by należało, że przyjdzie ze mną do ostateczności, gdy tymczasem oni uszczęśliwieni z mego wyznania, nie tylko mi nic nie odpowiedzieli, ale w szczególności ten sam prezes uspakajając mię łagodnemi słowy, krzesło mi ofiarował abym odpoczął. Lecz ja nie uspokojony jeszcze i do rozpaczy przywiedziony, gdym widział, że wszystkie moje plany i widoki na raz jakby piorunem rażone zostały, nie przyjąwszy krzesła, powtórzyłem z dumą:

— Tak jest, Migurski jestem! i chlubię się z tego, żem emisaryusz! i abym wam dowiódł, że się niczego nie lękam i na wszystko jestem przygotowany, objawiam publicznie, że przyszedłem was truć, mordować, zabijać i palić.

Wszystko to, com w zapale gniewu mojego powiedział, sekretarz wciągnąwszy do protokółu, odczytał.

Prezes zapytał mię, czy gotów jestem to potwierdzić i podpisać?

— Gotów jestem, — odpowiedziałem z udaną spokojnością, i mając na celu to o czem się niżej dowiecie, dodałem, że posiadam ważne jeszcze tajemnice, które samemu tylko księciu namiestnikowi objawię, jeżeli ten zjedzie do cytadeli.

Stanęło na tem, że komisya rozstając się ze mną w najlepszej ze mną harmonii, zaleciła mi spokojność, nieoddawanie się rozpaczy, i dała mi materyały piśmienne, celem spisania w krótkości tego, co mam objawić namiestnikowi; przyrzekając oraz, że tenże jutro zobaczy się ze mną o godzinie dziesiątej z rana.

Przyszedłszy do mojej celi, rzuciłem na stół przyniesiony papier i obejrzawszy się za zamykającymi, słowa napisane na drzwiach: „I to minie“ znowu się oczom moim przedstawiły.

— Prawda — pomyślałem — dla mnie wszystko minie. Wszakże przy wyjeździe moim z Francyi, wiedziałem co mnie czeka. Mamże się teraz lękać losu, który był przewidziany?... Ależ Albina!...

I przy tej myśli padając na kolana i rzewnemi zalewając się łzami, zawołałem:

— Boże!...

Więcej mówić ani myśleć nie mogłem. Natłok wrażeń i ogrom skupionych cierpień ścisnęły moje serce, i zrobiły je otrętwiałem na wszystko.

W takim stanie byłem chwil kilka. Com myślał i doświadczał, Bogu tylko wiadomo. Nie żałowałem wprawdzie życia dla tego, żem miał rozstawać się z nim tak wcześnie, przechodzić w krainę niewiadomej przyszłości, być pozbawionym widoku tej pięknej, zachwycającej natury, ale dla tego, że nic nie zrobiwszy dla kraju, gubiłem i robiłem na wieki nieszczęśliwą Albinę. O! to mi serce rozdzierało.

Powstawszy nareszcie, poszedłem do drugiego łóżka.

Zapomniałem wam powiedzieć, że od dni kilku posadzono wraz ze mną Niemca, za paszportem z Prus do Warszawy przybyłego, którego widać o coś podejrzywano. Podszedłszy jak powiadam do niego! pocałowałem go ostrożnie śpiącego, a ten pocałunek był pożegnaniem całej ludzkości i całego świata.

Zrobiwszy to, wróciłem do mego łóżka, ztąd dostałem z ukrycia ową czarną, tak starannie przechłowaną gałeczkę, stłukłem ją na proszek, wsypałem w szklankę i nalawszy wodą, z głębokiem westchnieniem wejrzawszy w niebo, wypiłem.

Wiadomo to prawie każdemu, że oczekiwane nieszczęście gorsze jest od rzeczywistego. Tak było i ze mną. Jeżelim cierpiał i rozpaczał, to pochodziło z walki pomiędzy życiem a śmiarcią, lecz wypiwszy truciznę, czułem się daleko spokojniejszym, cieszyłem się i doznałem tego wewnętrznego zadowolenia, jakiego ci doznają, którzy spełniają swoje obowiązki. Wielkiemi krokami chodziłem po mojem więzieniu, zacierałem ręce z radości i przełknąwszy zabójczy napój, miałem się za najszczęśliwszego. Powiem prawdę, że jako młodemu człowiekowi, marzyło mi się w głowie, iż postępkiem tem nabędę pośmiertnej chwały. Z upragnieniem przeto oczekiwałem chwili, w której trucizna działać zacznie, i jeżeli niekiedy rzucałem niespokojnem okiem, to było z obawy, aby straż uwiadomiona od Prusaka o tem co zaszło, nie wlała we mnie gwałtem lekarstwa przeciw truciźnie. Lecz dobry Niemiec pojąwszy moje położenie, nie myślał, jak to później się pokazało, w niczem mi być przeszkodą.

Tak chodząc podszedłem do stołu, na którym papier dany mi od komisyi był położony. Widok jego przypomniał mi polecenie, abym na jutro dla księcia namiestnika przygotował objaśnienie krótkie, zwięzłe i sprawiedliwe!

Tak myśląc, napisałem:

Żądałem widzieć księcia namiestnika jedynie na to, aby zyskać na czasie. Chwała Bogu, udało mi się, a wypiwszy truciznę, umieram szczęśliwy, ostatnie moje tchnienie, po ojczyźnie, Albinie poświęcając!“

Po napisaniu, wziąłem papier w rękę, stanąłem z dumą i po razy kilka odczytywałem. Cieszyłem się wyobrażając sobie, jak nazajutrz zjadą do mnie i z jaką chciwością (po obejrzeniu trupa) chwycą za papier i dowiedzą się wiele!... Myśl ta złośliwa wywołała z piersi moich śmiech głośny a szyderczy. Sam go się przeląkłem, i przykro mi się zrobiło, że zamiast poświęcić ostatnie chwile rozmyślaniom o wieczności, ja światowemi i złośliwemi zajmuję się myślami.

W taki sposób od chwili przyjęcia trucizny, przeszło dwie godzin. Obiad dla mnie przygotowany i przestygły, zjadł przebudzony Niemiec, a odwróciwszy się do ściany, zasnął powtórnie.

Ja zaś zamyśliłem się głęboko, oczy moje obłąkane czułem że rozpacz wyrażać musiały. Z założonemi na piersiach rękoma usiadłem na brzegu mojego łóżka. Patrzącemu na mnie z boku zdawaćby się mogło, że okropnemi zgryzotami sumienia miotany, piekielnych mąk doznaję. Coraz dalej i dalej, w miarę postępu czasu, zrywałem się z miejsca mojego siedzenia, i to gwałtownie chodząc po pokoju załamywałem ręce, to wznosząc do góry oczy nie

wyraźne jakieś słowa wymawiałem, to zakrywszy nareszcie twarz rękoma, siadłem znów w okropnem otrętwieniu..... Jakaż była przyczyna mojej widocznej rozpaczy? miałżebym żałować życia? lub ciężka zbrodnia miałażby przygniatać moje serce? lub nakoniec byłyżby to już skutki działającej trociny?....

Nie! a właśnie dla tego, niepokoiłem się i martwiłem mocno.

— Cóż teraz ze mną będzie, o wielki Boże! — myślałem — mamże jak podły nikczemnik znowu dopuszczać się wykrętów i kłamstwa? i cóż im powiem? kiedy mnie zapytają jakie istnieje towarzystwo, i jacy związkowi, ha! ofiary! ofiary! i ofiary bez końca. Cóż! jeżeli im powiem, że tu w kraju nie zdążyłem nic zrobić, i że przyjechałem nie jako konspirator, ale po pomoc i błogosławieństwo do stanu małżeńskiego, to cóż, chociaż to będzie i prawda, to oni nie uwierzą, bo niestety, takie już oni odebrali wychowanie, aby nam biednym nie wierzyć.

Ależ hrabia O., przy wyjeździe swoim z Galicyi, wręczając mi tę nieszczęśliwą gałkę, zaręczył, że to jest trucizna... a on będąc związkowym, żartować nie mógł... chyba, że jego oszukali... lub dając, sam się pomylił... O Boże! o wielki Biże! zmiłuj się nademną! o błagam Cię, nie dopuszczaj, abym się spodlił!... Weź mnie przed siebie tak czystego, jak są czyste moje zamiary i chęci!...

Wtem lekkie wymioty mnie napadły, które wkrótce ustały, nareszcie pięć i sześć godzin po wymiotach mija, a ja nie doświadczam najmniejszych boleści wewnątrz, lecz przeciwnie, czuję się tak zdrowym, jak nigdy.

Z rozpaczą spostrzegłem, że żyć muszę.

Naraz przypomniałem sobie jednę okoliczność, zrywam się uradowany, i rzuciwszy się do tłumoka, wyjmuję surdut, sięgam do kieszeni, i z trudnością włożywszy dwa palce w rozprutą kieszeń, dostaję scyzoryk, pomiędzy podszefką a suknem w rogu poły będący.

Zwracam uwagę moich czytelników, że ja byłem aresztowany jako Galicyanin. Przy wsadzeniu mnie więc do cytadeli, rewidowano mnie lekko i powierzchownie. Wspomniony scyzoryk był podarunkiem równie mi drogiej Wincenty, siostry Albiny. Miał on trzy niewielkie ostrza, czwarte zaś było cokolwiek większe.

W Warszawie jeszcze, gdym wyjechał z Brühlowskiego pałacu z adjutantem, domyśliłem się, że mię wiozą do więzienia. Z obawy przeto, aby mi go przy rewizyi nie odebrano, z kieszonki od kamizelki, gdzie się znajdował, wpuściłem go nieznacznie w powyżej opisane miejsce. Tym więc sposobem dostawszy go teraz, ucieszyłem się niewymownie, że kiedy już trucizna nie działała, to choć tem narzędziem dopełnię swego obowiązku.

Była godzina dwunasta w nocy. Więźniowie stanu spali spokojnie, i cisza panowała tu zupełna, a gdyby nie stąpanie szyldwachów, rozlegające się po ogromnych korytarzach, to możnaby wnieść, że grobowa deska pokrywa to miejsce, cierpieniom przeznaczone. Ma się rozumieć, że ja nie spałem; myśl bowiem oddzielenia duszy od ciała, której wykonanie jednemu tylko Bogu jest dozwolone, nie dawała mi pokoju. Długo walczyłem z sobą, co mi przedsięwziąć wypada, upewniwszy się zaś niejako, że trucizna działać nie będzie, wahałem się znowu pomiędzy powabem życia i nadzieją złączenia się kiedyś może z najdroższą mi Albiną, a spełnieniem tych obowiązków, które za najświętsze uważałem. Lecz w rezultacie tak wypadło, że te ostatnie wzięły przewagę nad pierwszemi, a myśl że za godzin kilka zjadą się do mnie i zażądają obiecanych tajemnic, przyspieszyła wykonanie.

Polecając przeto całą czynność i duszę moją Bogu, rozebrany, położyłem się na łóżku, i wybrawszy najdłuższe ostrze scyzoryka, zadałem sobie pięć ran w żołądek, szóstą zaś naprzeciw serca.

Poczciwy Niemiec widział i słyszał tę operacyę, albowiem przyłożone ostrze, ja zamrużywszy oczy, oprawną książką, jak młotem po sam trzonek wbijałem, ale on popatrzył tylko na mnie z litością, westchnął głęboko, i bąknąwszy: *Herr Jesus!* odwrócił się do ściany. Rzuciłem scyzoryk, złożyłem ręce na piersiach, i leżąc w znak z modlitwą na ustach, oczekiwałem śmierci.

Co się ze mną dalej stało? nie wiem... to tylko pamiętam, że z początku czułem jakieś gorąco po całem ciele, później oziębienie... szum w głowie... ogólne osłabienie... chęć spania... a nakoniec utratę zmysłów. Jak to długo trwało, nie wiedziałem, na raz zdawało mi się, że jakieś błędne światełko w duszy mojej zabłysło, a po rozmaitych, tumannych i niejasnych myślach i wrażeniach; uczułem że żyję, ale czy tu czy na drugim świecie, tego nie rozumiałem.

Pewność acz niejasna o mojej egzystencyi, o ile z jednej strony ogarniała serce moje rozkoszą, o tyle z drugiej przewidywałem cierpienia, strach we mnie obudzające.

W takiem to niejasnem znajdując się położeniu, chcę się poruszyć, nie mogę... czuję zaś, że żyję, przyszło mi na myśl, że to musi być mój duch bez ciała... Co tu począć, i jak się oswoić z tym stanem?... Czuję, że mam oczy, ale ich otworzyć nie mam odwagi... nakoniec pasując się sam z sobą, otwieram je, i widzę — światło w moim pokoju, dalej okno zakratowane, łóżko, a na nim śpiącego Niemca... Natężam ucho, i słyszę gwar rozmawiających i chodzących po korytarzach ludzi, dalej — brzęk kluczy, otwieranie i zamykanie zamków... Zbieram to wszystko w całość... poznaję najsmutniejszą rzeczywistość. I westchnąwszy głęboko, omdlewam na nowo...

Niedziele i czwartki, były to dnie, w których starszy dozorca, żandarm Pieczonkin, w towarzystwie cyrulika przychodził do naszych numerów, i kto z nas życzył sobie, mógł się golić. Właśnie o godzinie szóstej zrana we Czwartek, wspomniony żandarm z cyrulikiem wszedł z kolei do mojego pokoju. Lecz wyobraźcie sobie jego położenie i przestrach, gdy w miejsce zdrowego, rumianego i dość dobrze wyglądającego, jakim mnie widział wczoraj, zobaczył trupa. Ale przestrach ten zmienił się w okropniejszą jeszcze trwogę, kiedy odwinąwszy kołdrę, spostrzegł mnie całego we krwi własnej leżącego. Krew ta nie mając najmniejszego odchodu z powodu materaca skórzanego, podemną będącego, obficie się około mnie zgromadziła, i porównawszy się z moją powierzchnią ciała, zastygła.

Na krzyk biednego żandarma, zbiegli się wszyscy. Dano znać natychmiast do miasta, i niebawem jenerałowie, komendant, adjutanci, placmajor i mnóstwo innych zbiegło się do cytadeli. Wkrótce przyjechała i komisya śledcza, przywiózłszy z sobą korpuśnego doktora, pana H...

Cała ta massa zgromadziła się do mego pokoju, reszta na korytarzu podniosła się na palcach, i po nad głowy pierwszych patrzała na mnie.

Zauważono i powiedziano mi później, że na niektórych twarzach objawiała się litość, na innych obawa i strach, bo wielu czuło się być winnymi tego wypadku, przez zły dozór nademną.

Doktór pomiędzy tymi widzami pierwszą grał rolę. Wszyscy mu się też rozstąpili, i wolny przystęp do łóżka dali. W czasie kiedy mnie opatrywał, gawiedź ta z rozwartemi gębami poruszenia jego śledziła, a przytłumiwszy dech w sobie, oczekiwała wyroku, zapowiadającego niektórym odwach, drugim degradacyę, a innym kije. Lecz kiedy eskulap z największą ostrożnością zdjąć mnie z łóżka, i obmywszy rany, na świeże łóżko położyć kazał, to chociaż najmniejszego znaku życia nie dawałem, albowiem krew przez siedm godzin ze mnie płynąca, zupełnie mię podobnym do trupa robiła, ale po obmyciu spieczonej krwi, gdy ta jeszcze sączyć się zaczęła, i opatrzone instrumentami rany nie okazały się śmiertelnemi, zaręczył, że przy starannem około mnie chodzeniu, żyć będę. Ucieszyli się wszyscy i słowa jego z oznakami radości pomiędzy sobą powtarzali.

Żadna żona, kochanka, matka, nie chodzą około drugich swojemu sercu przedmiotów z taką troskliwością, z jaką około mnie chodzono i pielęgnwano. Oni postawili mi trzydzieści pijawek i po odpadnięciu ich obandażowali, okryli i z troskliwości, abym nie zerwał bandaży, ręce moje na wierzchu kołdry trzymać kazali. Posadzili około mojego łóżka oficera, i postawili w pokoju moim dwóch szyldwachów, ażeby nad mojemi skinieniami czuwali. Jeżelim zasnął, żołnierze się nie zmieniali, aby mnie tym hałasem nie zbudzić. Raz nawet (o niesłychany w Moskwie wypadku!) dla tych samych powodów, gdym spał, capstrzyku bić nie kazano, słowem wszelkich użyto środków, abym tylko mógł przyjść do zdrowia.

Lecz zostawcie mię na jakiś czas moi czytelnicy, niech tam sobie około mnie chodzą, siedzą, pilnują, buljonami poją, miksturami karmią, niech zresztą o mojem zdrowiu codzienne raporta zdają. Książę namiestnik wyrzekł: „Sztob‘ żyw był nepremenno!“ (żeby żył koniecznie) i to było do-

syć, aby dusza moja bagnetami obstawiona nietylko nie uleciała, ale nawet i wyjrzeć nie śmiała. My zaś zobaczmy, co się dzieje z Albiną.

IV.

Powiedziałem już wyżej, że przy rozłączeniu się dwojga kochanków, zostająca na miejscu strona, zawsze bywa nieszczęśliwszą. Albina po moim wyjeździe, wróciła do zwykłej a ulubionej samotności, i tam po kilka godzin głębokim myślom oddana, marzyła o mnie, z duszą czułą i mnie wyłącznie oddanem sercem, okropnie się niepokoiła. Znała ona mój nadzwyczaj prędki i niecierpliwy charakter, wiedziała, żem dumny, drazliwy i że cienia nawet ubliżenia sobie nie zniosę, lękała się przeto, ażebym w uniesieniu zapomniawszy o wszystkiem, sam siebie nie zdradził; to znowu udręczona takiemi myślami, wracała do swych pokoi, ażeby nowe przedmioty, nowym ciosem serce jej raziły. Tu bowiem, przy tym stoliku widziała mię piszącego, tu jej na głos książkę czytałem i wraz z nią nad dobrocią tejże robiłem uwagi — tu fajkę paliłem, tu obok niej siedziałem, kominek z blejtramem przypominał jej moje ukrycie i moje raptowne pokazanie się, nasze łzy radości i pierwszy niewinny pocałunek; tu nakoniec w ojcowskim pokoju widziała mię o jej rękę proszącego i otrzymane przyrzeczenie, słowem, gdzie się obróciła, wszędzie ślady mojego pobytu, wszędzie cierpienia... Czyż więc strata kochanka, dla czułego i cierpiącego serca, nie jest nieszczęściem? Jest zaiste i to tem większem, że młoda ta główka nie miała jeszcze żadnych obowiązków, prócz danego jej od natury obowiązku kochania.

Nieszczęśliwa! po moim wyjeździe żadnego listu, ani żadnej o mnie wiadomości nie miała; ciągle z czerwonemi od płaczu oczyma karmiła się i poiła łzami! Każdy dzień pocztowy był dla niej paroksyzmem ciężkiej choroby, na każde pokazanie się posłańca z listami, rzucała się jak bezprzytomna, wyrywała listy z rąk jego, i z trudną do opisai szukała, wpadła w mdłości, konwulsyę i zupełną apatyę.
i szukała, wpała w mdłości, konwulsye i zupełną apatyę.

Tak męcząc się, pocieszała się niekiedy, że może nadzwyczajny i niepojęty zbieg okoliczności odbiera mi możność pisania, lub listy moje może gdzieś na poczcie zalegają, albo że sam wkrótce powrócę. Myśl ta ostatnia uspokajała ją nieco, i radując się pierwszy raz w życiu zajmowała się swoją toaletą. A jak wiadomo, że najniewinniejsza nawet dziewczyna musi mieć choć cząstkę zalotności, tak i ona, jako kochana i kochająca, zawijała loki, podchodziła do zwierciadła, chciała być piękną i więcej mi się podobać. Takiemi myślami zajęta wychodziła na wieś i za wieś i marzyła, że mnie spotka. Lecz gdy komisarz cyrkularny przyjechał do wsi Paniowiec i zapytawszy się, kiedy Antoni Wiśniowski wyjechał, oświadczył, że tenże jest aresztowany w Warszawie, nieszczęśliwa, jakby piorunem rażona domyśliła się reszty i upadła zemdlona. Z wielką trudnością powrócono jej zmysły, na to jedynie, aby w całej okropności uczuwszy swoje położenie, przygotowała się na dalsze męki.

Po odjeździe komisarza, zawiadomiony powrócił do domu brat jej Antoni. Ten wspólnie z siostrą, która z pensyi wróciła, uspokajali ją jak mogli. Ona koniecznie do Warszawy jechać chciała, i miała pretekst, bo ja za brata jej uchodziłem i tylko uwaga, że zbytnią niebraterską miłością zgubić mnie może, wstrzymała ją od tego kroku.

Tak ona biedna męczyła się i cierpiała rok jeden, najmniejszej odemnie nie mając wiadomości. Lecz po upływie roku, kiedy się prawie upewniła, że mnie nie podobna tak długo grać rolę jej brata, napisała kilka słów do mojej familii, prosząc ich, aby jej donieśli, co się ze mną stało.

Dopiero Rafalina, siostra moja, o smutnej rzeczywistości zawiadamiając ją, doniosła jej, że rząd zgrzybiałego ojca naszego i wuja celnika, pierwszego że nie oddał syna, drugiego że straszył a nie dopełnił — posadził na dni 14 na odwach, ja zaś jeszcze jestem w cytadeli.

Dla innej byłoby dosyć, aby marzyć przestała, lecz dla niej, mnie całkiem oddanej, było za mało. Ona napisała do komendanta cytadeli, jenerała B., i płacmajora K., poruszając w nich wszystkie sprężyny uczuć ludzkich, aby jej donieśli co się ze mną stanie. I w takiem to oczekiwaniu przeszło jeszcze pół roku zostawała. Biedna męczennica!

Tymczasem ja pasując się pomiędzy życiem a śmiercią przez dwa miesiące, zacząłem przychodzić do zdrowia.

W czasie mej choroby komisya śledcza, zebrawszy wszystkie szczegóły od tego, który mnie poznał, nie wielkich objaśnień odemnie wymagała, tak, że gdy stanąłem przed nią, ona dała mi zapytanie, czy to co wprzódy zeznałem, to jest: że przyszedłem konspirować przeciwko rządowi, potwierdzam lub odwołuję.

Wstydząc się pokazać w ich oczach nikczemnym, i nie chcąc z obawy rózgi zapierać się i łgać jak student, z młodzieńczym zapałem że tak jest, odpowiedziałem.

Po zapisaniu mojego zeznania w protokół, podszedł do mnie prezes komisyi i biorąc mnie za rękę, zawołał z udziałem:

— Pan jesteś młody! rozpacz cię za daleko unosi i zdaje ci się, żeś wpadł w ręce rozbójników, gdy przeciwnie rząd nasz ocenia wielkość duszy i charakteru chociaż lepszej sprawy godne) widać żeś pan zupełnie zwątpił o sobie. Nie zapominaj, że to wszystko, co należało było zrobić związkowemu, nie szczędząc nawet życia swojego — zrobiłeś, trzebaż przeto zostawić coś i dla siebie... Nie trać pan nadziei, człowiekiem jeszcze być możesz... powiedz nam tylko, jakie przywiozłeś instrukcye? komu je powierzyłeś i kogo do związku przyjąłeś, a my ci imieniem rządu dajemy słowo, że chociaż prawo wymagając satysfakcyi, karać cię będzie, ale ukarze lekko.

Usłyszawszy podobne słowa, błagającym tonem zawołałem:

— Przez Boga żywego! uwolnijcie mnie panowie od tego!... I cóż? jeżeli wam powiem, że przyjąłem tego lub powierzyłem owemu, toć przecie trzeba dowieść, a dowieść to, czego nie było, to nowa zbrodnia. Wszakże aresztując mnie, odebrano odemnie wszystkie papiery, czyż były tam jakie instrukcye? a od czasu przejechania granicy, do chwili mojego aresztowania, czyż nie wyrachowałem się prawie z każdej minuty i czyż to nie jasno że gdybym i rzeczywiście miał co do roboty, czyż mogłem zdążyć?...

— O, przestańcie — mówiłem dalej rozczulony — na tem oświadczeniu, którego nigdy nic nie odmieni!... Wszakże jestem w waszej mocy, możecie sobie ze mną postąpić jak wam się podoba, ale pamiętajcie, że najmniejszy gwałt, wyrządzony mojej osobie, wam samym hańbę przyniesie.

— Dosyć dosyć! — odezwał się pan prezes. — Chcieliśmy się tylko przekonać, czy nie ukrywasz czego przed nami; żebyśmy cię zaś przekonali że wiemy wszystko, przeczytaj panie sekretarzu.

I pan sekretarz przeczytał mi niewiadomo czyje zeznanie (zapewne szpiega) o najdrobniejszych szczegółach mojego pobytu i działania w Galicyi, że zaś tam nic nie było prócz prywatnych stosunków, przeto je potwierdziłem, i komisya się rozjechała, a mię odprowadzono do celi.

Że ja przyjmowałem truciznę, wydało się takim sposobem: W parę godzin po jej przyjęciu, porwały mię wymioty. Na krzyk przestraszonego Niemca, nadbiegł dozorca. Prusak nieumiejący ani jednego słowa po rusku, wziąwszy szklankę, pokazał na migi żandarmowi, że ja piłem. Ten zrozumiawszy, a widząc mnie słabego, pobiegł po wodę, i zanim przyniósł takową, wymioty mi ustały. Gdy zaś na drugi dzień zapytano Prusaka: dla czego on w nocy nie przeszkadzał mojemu samobójstwu, on się tłumaczył: że śpiąc nie słyszał. O t... zaś, żem przyjmował truciznę, nie tail, a przeciwnie dawał znać dozorcy.

V.

Dnia 18 stycznia 1836 roku, nie wielkie w trzy konie zaprzężone sanki, ruszyły z przed mieszkania komendanta miasta Warszawy, jenerała T., ciągnęły przez Krakowskie przedmieście, i zmierzył ku mostowi na Pragę wiodącemu. Po prawej stronie siedział młody, blady, szopami i szalami dla silnego mrozu starannie obwinięty mężczyzna. W przejeździe przez miasto, smutne i żałosne rzucał on wkoło siebie spojrzenia, cicho zaś wymawiane słowa Bajrona: „Bywaj mi zdrowy kraju kochany...“ dowodziły, że wiedział gdzie go wywożą. Po lewej stronie siedział oficer od żandarmeryi, pan W., w uniformie, a na przodzie pocztylion z trąbką.

Mieszkańcy Warszawy zatrzymywali się i długo za nimi patrzali, kobiety łzy ocierając, palcem na niebo po-

kazywały, chcąc niejako tym niemym znakiem, zaszczepić iskrę nadziei przyszłej nagrody wywożonej z kraju ofierze. To było wszystko, co ziomkowie moi mogli mi ofiarować na pożegnanie.

Takim sposobem wywożono mnie z kraju. Lecz gdzie mię wieziono, nie wiedziałem, wyroku bowiem żadnego mi nie czytano. Opisywać szczegółowo moje ówczesne uczucia, byłoby zbytkiem. Zostawienie po za sobą biednego a kochanego kraju, zawiedzione nadzieje, plany, marzenia, żal, smutek i ściśnienie serca, wszystko tam było.

Takie to w całej drodze umysłowe, torturom tylko równające się zajęcia, miotając mną na przemian, robiły mię najnieszczęśliwszą moich uczuć ofiarą.

— Ha! zresztą com mógł tom zrobił — pomyślałem — cierpię więc z przyjemnością, bo dla ojczyzny, i gdyby nie Albina, ciągle mi przed oczyma stojąca, biedna a ukochana zawsze Albina, ja czuję, że byłbym nawet może spokojnym! Ależ ona, ilem razy ją wspomniał, czułem, że mi się serce kraje, i pęka z żalu, tak ją mocno kochałem.

Po dwudziestuczterodniowej podróży, w której nie było żadnego wypadku, przywieziono mię do Orenburga, zkąd po dwutygodniowym odpoczynku, pojechałem pod strażą do I. liniowego batalionu, w mieście Uralsku konsystującego, gdzie jako prostemnu żołnierzowi w szeregach rosyjskich służyć mi kazano.

Pierwszym moim obowiązkiem po ulokowaniu się na miejscu było, napisać do Albiny, i oto jest właśnie mój list oryginalny:

„Wiedząc, jakie czas, w podobnem jakie jest nasze położenie, skutki zrządzić może, umyśliłem z początku nie zgłaszać się do ciebie pani! lecz trwać w tem przekonaniu jest jedno, co i nie dopiąć celu, narazić własne sumienie na ciągłe i sprawiedliwe wyrzuty, znieważyć święte obowiązki, a nadewszystko ubliżyć twojej stałości.

„Albino! jedyny i nieustanny uczuć moich przedmiocie! Prawa nasze są święte, przestrzeń nawet trzech tysięcy wiorst, jaka nas dzieli, wpływać by na nie nie powinna, i w szczególności na mnie nie wpłynie. Wątpić zaś o tobie, znajomość twojego charakteru mi nie pozwala. Lecz gdybyś uległa wpływowi, jaki w podobnych razach, czas, rady, niemożność, a nakoniec sam bieg natury zrządzić mogą, prócz osobistych cierpień które się staną życia mego udziałem, honorem ręczę, że cię mieć będę zupełnie za wytłomaczoną. Zostanie mi tylko święty obowiązek, prosić Niebo o twoją pomyślność, bez najmniejszej do twego charakteru pretensyi".

„Przypominasz sobie zapewne droga Albino, jeżeliś odebrała list mój z cytadeli pisany, w którym o ile pamiętam powiedziałem:

— „Jakkolwiek postępują tu ze mną grzecznie, ja jednak żyć przestanę!"

„Nie podobna mi tu wszystko opisywać z kolei, to ci tylko powiem, że ten dzień nadszedł, a był nim 25 czerwca, w którym kto jestem, i w jakim charakterze przyjechałem z Francyi, dowiedziano się".

„Chcąc zyskać na czasie, oświadczyłem, że tajemnicę, jakiej się odemnie domagają, objawię tylko samemu księciu namiestnikowi. Spisano wkrótce ze mnie protokół, dano mi materyałów piśmiennych dla napisania krótkiego biegu życia mego, i zamknięto w więzieniu. Tym sposobem stając się panem czasu, dostaję zachowaną truciznę, i wśród nieszczęścia szczęśliwy, ostatnie moje tchnienie tobie po ojczyźnie poświęcając, połykam! Lecz niestety! dziesięć godzin mija, i ja prócz lekkich wymiotów, żadnych skutków działania trucizny nie czuję. Czas zaś przyjazdu księcia zbliżał się. Wierny przyjętym dobrowolnie zasadom, biorę scyzoryk, przez twą siostrę Wincentą mi darowany, i nim pięć ran w żołądek, a szóstą przeciwko sercu sobie zadaję. Tym sposobem w dniu następnym przez komisyę znaleziony zostałem".

„Pasowałem się ze śmiercią blizko dwa miesiące. Przyszedłszy do zdrowia, nagliłem i prosiłem, aby ze mną kończono. W czasie inkwizycyi, w której nie wiele miałem trudności, bo już o każdym moim kroku wiedziano, okazywano mi dość jawne dowody szacunku, oświadczając, że rząd będzie umiał cenić moc charakteru i poświęcenia się. Prawdę mówiąc, chociaż wina moja, nie w mojem przekonaniu, ale w obliczu prawa, była nierównie większą, od innych, ze mną jednak, daleko łagodniej jak z innymi postąpiono. Wieziono mnie bowiem z samej Warszawy do Orenburga pocztą, bez kajdan, półtora złotego dziennie na utrzymanie przeznaczając, gdy tymczasem mniej jak powiadam winnych odemnie, pędzono bez względu na ich stan obywatelski, piechotą, niektórych nawet w żelazach, sześć lub dwanaście groszy na dobę im przeznaczając".

List ten ze ściśnionem sercem adresując do Albiny, odesłałem na imię moich rodziców, ażeby ci, co się ze mną stało, wiedzieli.

Mnie to okropnie męczyło, że zamiast w żywych kolorach odmalować jej miłość, jaką dla niej oddycham, doniosłem jej tylko o sobie i w dość zimnych wyrazach od słowa ją uwalniałem. Lecz to nie było bez przyczyny; znałem ja bowiem jej charakter i siłę przywiązania do mnie, obawiałem się przeto, aby ona widząc w listach moich wielkie do siebie przywiązanie, i idąc za popędem własnego serca, do mnie nie przyjechała, a temsamem nie padła ofiarą swojego poświęcenia się.

Nim jeszcze list ten poszedł do rąk Albiny, odebrała ona wiadomość od siostry mojej, Rafaliny, o tem, co się ze mną stało w Warszawie. Zadecydowany jakkolwiek nieszczęśliwie los mój, prawie ją uspokoił, bo jak wiadomo, że najgorsza rzeczywistość jest znośniejszą od oczekiwanej niepewności.

Po kilkunastu miesiącach odetchnęła ona po raz pierwszy spokojniej, bo myśl, że żyjąc, nie jestem dla niej stracony, pocieszyła jej duszę.

Z powodu rozmaitych nieszczęść, przez jakie przechodziliśmy, nie podobna było uporządkować naszej korespondencyi. Niektóre tylko zachowane a i te uszkodzone listy mogą dać słabe wyobrażenie o przywiązaniu jej do mnie.

Oto jest wyjątek z jej listu:

„W pierwszych chwilach, gdym się o twoim losie dowiedziała, licząc na pozostałe fundusze przed wypuszczeniem w posesyę naszego majątku, na pomoc i poświęcenie się mojej lubej siostry Wincenty, zrobiłam stanowcze postanowienie jechania do ciebie, najdroższy mój aniele. Żadna trudność, największa odległość ani opinia świata, nie wstrzymałyby mnie od tego kroku, gdyby nie potrzeba i obowiązek zasięgnienia rady i pozwolenia od ciebie. Ty wiesz mój drogi, jak ja ciebie kocham. Ty wiesz, ilem dobrowolnych wykonała przysiąg, że wiecznie do ciebie należeć będę. Ty wiesz nakoniec, że ty tylko jeden możesz mi wrócić spokojność, bez której cóż znaczy życie? Dla tych powodów nie wahałabym się na chwilę, a pospieszyłabym do ciebie.

„Lecz drogi mój! stać ci się ciężarem, lub do twoich planów, widoków, przeszkodą, nie zapytawszy naprzód ciebie, czy ty tego sobie życzysz, abym przyjechała, nie! to byłoby nadużywać twojej dobroci i zaufania. Droga i nieszczęśliwa istoto! daj radę i napisz jakby wszystko urządzić można, urządzić w taki sposób, aby do twojej spokojności i pomyślności mogło posłużyć. Ja się zaklinam na wszystko, że najchętniej wyrzeknę się wszystkiego, bylebyś ty tylko mógł być szczęśliwym.

„W dwóch poprzednich listach prosiłam cię i teraz powtarzam i zaklinam, daj mi dowód twojego przywiązania i zaufania! nie taj przedemną twoich zamiarów i chęci, powiedz szczerze i prawdziwie, wszak ja mogę do ciebie przyjechać, wszak się o to na mnie nie rozgniewasz? a przeciwnie przyciśniesz twoją nieszczęśliwą Albinę do swego serca. O! bo ona wiele wycierpiała, i ty jeden możesz jej wrócić życie.

Najdroższy Wincenty! ja ciebie milion razy więcej kocham, jak ktokolwiek na ziemi! jak twoja rodzina, twoja siostra! ojciec! matka nakoniec! Oni i bez ciebie mieliby kogoś na ziemi, dla mnie zaś, ty jesteś wszystkiem. Nie! ja wiem, ty i w części mnie tak nie kochasz, to i nie pojmujesz nawet, czem ty jesteś dla mnie. Proszę cię, blagam mój aniele, jeżeliś mnie kiedyś kochał, jeżelim ci miłą była, napisz, przez jakie środki mogłabym się do twojej pomyślności przyczynić! nie unoś się fałszywą ambicyą, donieś, może ty pieniędzy potrzebujesz? Ty wiesz, jak bez ciebie mnie nic nie potrzeba, jeżeli i tego odmówisz, dasz mi poznać i uczuć prawdziwie, że całkiem na ziemi potrzebną już nie jestem, bo i na cóż, chyba żebyś czując się niewolnikiem swego słowa, całą swoją pomyślność przyszłą zniweczył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Maksym Gorkij.

ZBURZONA TAMA.

Balada.

Słońce grzeje. Czuć łagodny wietrzyk. Morze zlekka faluje. Łódź nasza z rozwiniętym żaglem powoli pruje fale... Dokoła przestwór bez granic... W dali stara zburzona tama. Oto zbliżamy się ku niej. Fale z siłą uderzają o kamienną zaporę i radośnie, swobodnie toczą się przez wyłom, zrobiony w niej na parę sążni.

— Morze nie lubi przeszkód — zauważył mój towarzysz, stary, zagorzały marynarz.

— A jak dawno przerwało tę tamę? — spytałem, zdumiony mimowoli szaloną siłą fal, które zniosły te olbrzymie skały.

— Sądzę, że dawno — odparł z pewną zadumą.

— A czy zna pan — nagle zwrócił się do mnie — ulubioną legendę naszych marynarzy o walce morza z temi skałami? Jeżeli pan chce, to ją opowiem.

* * *

Na północy posępnej i chmurnej, kędy mroźne wichury swym lodowym oddechem zagrażają wszystkiemu, co żyje, kędy krzepkie sosny i jodły, przysłonięte zimowym całunem, rzadko mogą ujrzeć uśmiech słońca, doznać jego wiosennej pieszczoty, — niegdyś w morzu bezbrzeżnem, niby wał granitowy, widniała ręką ludzką wzniesiona zapora.

Wzniósłszy dumnie, wysoko swą masę ponad poziom burzliwego morza i drwiąc sobie z zagniewanych fal, stała tama olbrzymia i czarna. I potężne, swobodne bałwany natrafiały na tamę z granitu, co groziła ich wolnemu biegowi, — i przez wieki trwała ta walka, póty fale walczyły z przemocą, aż złamała ją ich wola niezachwiana.

Gdy w wiosennym, majowym poranku, nad bezbrzezną lazurową tonią, błyszczą słońca jaskrawe promienie i rzucają szmaragdowe odblaski morskich fal srebrzyste kolory — wtedy fale, igrając, swawoląc, o odwiecznej walce morza z tamą, taką szemrzą marynarzom pieśń:

Niby wolne ptaki w przestworzu, były morskie fale swobodne... Matka-burza kołysała je pieśnią i wesoło, bez troski, biegły fale gdzieś w bezbrzeżną dal...

Lecz ponury i zły człowiek-tyran, szczęścia falom zazdroszcząc, postanowił je wolności pozbawić, by nie mknęły tak dumnie ponad morza potężną otchłanią, by nie śmiały się wdzięcznie ku błękitnym lazurom pośród słońca jaskrawych promieni...

Wysłał sługi pokorne...

Woli władcy posłuszni, wnet się wzięli niewolnicy do pracy: zimne skały z łona ziemi wynieśli i cisnęli je w morskie głębiny...

Rozigrało się morze...

Patrzą fale wesoło, jak to skały na dno padają; skaczą, swawolą, pluskają, pieszcząc fale ponure...

I szemrzą fale: „Toż to uciecha! Z chłodnej ziemi głębiny wyszli goście pochmurni. Powitamy ich śpiewem radosnym, ciepłem słowem i pieszczotą ogrzejem, wspólnie w morzu będziem się bawić, dobroć słońca i swobodę sławić.

Wesołe są fale młode...

Tylko burza i ojciec-huragan wrogim świstem gości witają, spoglądając na skały ponuro.

A skały raz po raz wciąż do morza padają, jedna pada przy drugiej i wał rośnie wysoki, morze w biegu tamuje, fal swobodę krępuje. — Zmieszały się fale, na złośliwą zaporę spoglądają lękliwie; po raz pierwszy zagrodzono im drogę! Ale pędem biegnąc przed siebie, uderzyły się piersią o głazy... Stoi mur niedostępny i chłodny...

Drgnęło morze...

W przerażeniu miotają się fale, piersią tłukąc o skały... Jęk rozlega się po morzu... Pędzą fale ponure: „Zdrada! Zdrada!" — wołają — „Przyjęłyśmy je niby przyjaciół, a one wolność nam skradły!"

Matka-burza załkała... Z rykiem ku tamie ponurej pędzi ojciec-huragan.

„O skały! — o, groźne sały! Niegdyś i wyście były swobodne, oddychałyście wolnością! Pocoście dziatkom swobodę skradły?"

Zasępiły się groźne skały. „Nie myśmy winne, przecież kraść nas zmuszono", smutnym głosem odrzekły i złowrogo ponad morzem zawisły.

Z jękiem, płaczem pobiegła matka-burza po morzu, pomknął ojciec-huragan, wszystie fale zwołują, wieść roznoszą fatalną:

„O, fale, o, biedne fale! Zginęła, zginęła wolność! Odtąd w niewoli jesteśmy!"

I pomknęły dalej, szlochając... Morze zamarło...

Potężne, stare fale skryły się w morza odmęcie. Już nie zwoła ich burza — nie rozbudzi ojciec-huragan.

I młode fale ponuro się toczą: ani śmiechów nie słychać, ani śpiewu o dawnej wolności; — i słońce tak skąpo przyświeca przez chmury, i wszystko tak szare, tak smutno dokoła... — Tylko młode fale, nie spodlone tem ciężkiem jarzmem niewoli, zgromadziwszy rozproszone swe siły, śmiałym hufcem natarły na wroga... Zwartym szeregiem o skały ostro uderzą... napróżno!... głuche skały nie zadrżą... tylko echo roznosi po morzu jęki piersi, rozbitych o głazy...

Morze płakało... Mijały lata... I minęło ich wiele... Wiele fal młodych, swoje piersi rozdarło o skały, — coraz ciemniej i ciemniej mrok zapadał nad morzem... Ucichły fale, uległy... „Poczekajmy, aż sił nabierzemy!..."

Mijały lata... Młode fale zmężniały, na wsze strony rozsyłają zwiastunów, aby śpiące zbudziły, wszystkie fale na bój krwawy zwołały. Najpierw w morskie otchłanie zeszły gońce-zwiastuny; stare fale do boju wzywają.

Siwe fale odmownie kręcą swemi głowami. „Brak nam siły do walki i zapału nam brak!... Czyliż można tak walczyć, ze skałami się mierzyć?" Pomkną fale-zwiastuny, swych najbliższych szukają, matkę-burzę i ojca-huragana wołają. Nie znalazły na morzu, jeno w górskich wąwozach.

„Bywajcie, mili, witajcie! Jako gońce dziś was witamy. Porzućcie ciasne wąwozy i lećcie w morze bezbrzeżne. Zerwijcie więzy hańbiące, co nam dusze spętały. Tchnijcie w fale bezwładne żądzę życia i pragnienie swobody. Groźne hufce zgromadźcie i na wroga ruszajcie! Ani śmierć nas nie straszy, ani bój ostateczny, bo pragniemy wolności dla morza".

Mocniej zabiło serce matki-burzy, ogniem buchnęła krew w ojcu-huraganie. Słowa gońców-zwiastunów przypomniały im naraz lata młode, szczęśliwe. I życzliwem spojrzeniem obrzuciły młodzieńców. Oto z górsich wąwozów w przestwór morza błękitny rwie się dźwięczne, radosne wołanie:

„Idziemy, idziemy, idziemy wolność ocalić, wolność ocalić, wolność ocalić. Zbudźce się fale potężne, rwijcie łańcuchy niewoli, zburzcie wszystkie przeszody!"

Był to silny okrzyk bojowy; niby poryw wichury, niby grzmot piorunowy wszędy przebiegł nad morzem: śpiących ze snu porywał, starym młodość przywracał, wszystkich krzepił na duchu. I zrywały się fale i toczyły po morzu, śladem gońców-zwiastunów. Głucha noc nad wodą

mi zapadła, gdy rozbrzmiało pierwsze hasło do boju. Ze wschodu na zachód, z południa na północ toczą się fale, zwarte formując szeregi. Młode fale męstwem pałają, pierwsze rwą się do szturmu. Błyskawicą burza mknie ku nim, huragan na pomoc im spieszy. Ryknęła burza... zagrzmiał huragan... Ruszyły szeregi fal... Naprzód, fale potężne! „Śmierć albo wolność!“ Z okrzykiem bojowym ku ciemnej tamie pomknęły.

Drgnęły skały ponure... Coraz szybciej i szybciej fal się toczą szeregi... Przepadły, starły się piersią o skały — i padły martwe. — Strzępy piany gorącej, jak krew, lecą wysoko ku górze, skały wciąż ociekają krwią niezwalczonych rycerzy... Szlocha matka burza: „Dzieci me, dzieci rodzone, pierwsze padłyście! Wiele jeszcze was padnie, ale dzisiaj przełamiem moc wroga“.

Morze wre... Na zmianę poległych nowe mkną fale... Jaka w nich groza!... Jaka w nich moc!... Z hukiem i rykiem biją o głazy, w tył się cofają i znów szturmują, nawet konając, braciom odwagi dodają... Ale krzepko trzyma się tama.

I wciąż toczą się fale, jedna drugą dogania i nie widać ich kresu, ni granic... Morze z brzegów się cofa: wszystkie fale do szeregów odeszły. Jęk i ryk rozbrzmiewają nad morzem.

Nadszedł ranek; ranek szary, ponury. Skały jeszcze niewzruszone stoją... Burza-matka nad falami szlocha bo jej dzieci wciąż giną i giną, rozbijając swe piersi o głazy. Przerażeni zbiegli się ludzie. Z żalem patrzą rybacy, jak giną fale młodzieńcze w boju wielce nierównym. Bólem serca wezbrały i płakali ci ludzie, wznosząc modły do Boga, aby przerwał tę walkę, aby falom zesłał zwycięstwo.

Nawet tyran okrutny, który stworzył tę tamę — sam się teraz przeraził. Drgnęło serce kamienne, widząc krwawe wysiłki... O, jakże teraz pragnąłby wycofać z morza te skały i falom wrócić swobodę;... Lecz za późno tyranie! Teraz fale nie płaczą, już o litość nie proszą... Zbyt wiele zginęło tu fal, zbyt słodką jest zemsta za braci!

Niema pojednania!... Niby lwice potężne, stare fale wczas na pomoc spieszą. Siwe grzywy wiatr rozwiał... Ląd się trzęsie wokoło, słońce w górze zamarło... Przodem pędzi huragan, z mocą skały wyważa. Wnet z okrzykiem bojowym, zbrojne w męstwo rozpaczy, groźnie suną nowe hufce fal... Czują one: albo zburzą tę tamę, albo morze mogiłą im będzie! Suną naprzód miarowo; krzepko, zgodnie natarły — drgnęły skały pod ciosem. Zamarły fale. Odskoczyły i z hasłem znowu wraz uderzyły...

Wszystko zlało się w chaos...

Jęk i grzmot rozlegają po morzu; rzekłbyś: morze dźwignęło się ze dna i złączyło się z niebem...

I skały runęły... Pod ostatnim zachwiały się ciosem, z hukiem wpadły w odmęty, gdzie poległe fale leżały...

— Precz trupy sromotne, — ryczy morze do skał obalonych: „tu mogiła bojowników wolności, tu młodzieńcze spoczywają fale!...“

Morza dno się rozwarło: w ciemną otchłań z przekleństwem groźne skały upadły. „Czyliż nasza w tem wina? Falom chwała a nam wieczna sromota i hańba!“

Święci tryumf morze bezbrzeżne... Zwyciężyło moc wroga potężną, przełamało niewoli okowy.

I swobodnie toczą się fale, sławiąc braci poległych, co swą śmiercią ofiarną morzu wolność wróciły.

Chwała poległym!
Żyjącym — wolność!

*

Siedziałem oczarowany tą przecudną ludową legendą. Ze czcią patrzyłem na swobodne fale, tchnące mocą i męstwem potężnem. Nademną lazurowy błękit nieba, podemną morze bezbrzeżne, skąpane w łagodnem świetle jasnego majowego słońca. W oddali gwar życia miejskiego, śmiech marnej wesołości, czarny dym, i świst batogów, brzęk kajdan i jęki, żałosne jęki... I zdawało mi się, że hen tam daleko, daleko, za morza błękitem, grzmi burza!...

O, ludzie! o, biedni, nędzni ludzie!...

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

19) (Ciąg dalszy.)

— Pan hrabia wie już, że cię przyjąłem i życzy sobie zaraz widzieć cię. Pójdziemy więc do niego, ale wpierw oprowadzę cię po pałacu, abyś się mógł zoryentować, gdy cię kto wezwie do jakiej posługi.

Robert drżał z radości, tego bowiem nie spodziewał się nigdy, aby miał być tak blizko hrabiego! Szczęście sprzyjało mu nadzwyczajne!

Pałac Noirville był rzeczywiście jednym z najpiękniejszych i najstarszych w Paryżu. Był on od ulicy Uniwersytetu około 50 metrów szeroki, główny budynek leżał pomiędzy dziedzińcem i ogrodem i przez szeroki ganek przechodziło się do wielkiego portyku, obok którego znajdowała się brama dla służby. Z prawej strony była loża dla odźwiernego, nad nią mieszkania dla służby — z lewej stajnia i remizy, oraz mieszkanie dla stangreta i masztelarza.

Z oszklonej obszernej werandy wiodły schody do ogrodu, w suterynach zaś były kuchnie, sklepy i śpiżarnie.

Na parterze urządzono salony do przyjmowania gości, pokój bilardowy, salę jadalną i bibliotekę, na pierwszem piętrze pokoje mieszkalne, gościnne, pokój do ubierania się i sypialnię. Każdy z tych pokoji miał wyjście na kurytarz i oprócz tego były wszystkie połączone drzwiami z sobą. Na trzeciem piętrze były już tylko mieszkania służby.

Pan Aleksander oprowadził Roberta po całym pałacu, po wszystkich piętrach i kurytarzach i objaśniał mu, które ganki i schody łączyły rozmaite części tego obszernego gmachu. Nie przeczuwał on wcale, jak uważnego miał słuchacza, bo nowy groom patrzał tak na wszystkie drzwi i pokoje jak wódz na pole, na którem zamierza stoczyć walkę.

Najwięcej cieszyło go to, że z pokoju, w którym mieszkał, mógł wyjść na schody i do ogrodu, nie będąc przez nikogo widzianym.

— W tych dniach będziemy mieli dużo roboty, — rzekł pan Aleksander.

— Dlaczego?

— Bo nasz pan się żeni. Jutro przyniosą tu jeszcze meble i kwiaty — wszystko dla młodej pani. Za tydzień ślub!

Robert wzruszył ramionami, jak gdyby ożenek hrabiego zupełnie mu był obojętnym.

— Pokażę ci potem jeszcze sypialnię hrabiego, która ma być zamienioną na buduar pani hrabiny, a teraz idź do kuchni na śniadanie.

Robert zjadł śniadanie z wybornym apetytem, bo wiedział, że daremnie czasu nie stracił, a to przeświadczenie zawsze go w doskonały wprawiało humor.

O dziesiątej zawołano go na górę, miał być teraz przedstawiony hrabiemu.

I młody zbrodniarz uczuł się nieco zmieszanym, gdy stanął przed tym, do którego domu zakradł się zdradziecko, aby go zamordować.

— Ah, to nasz nowy groom, — rzekł Gaston łaskawie. — Troche nieśmiały jeszcze i troche, zdaje się niezgrabny, ale wyćwiczy się tu dobrze. Wszakże ci nie zbywa na dobrych chęciach, mój chłopcze?

— Będę się starał zadowolić pana hrabiego, — odparł Robert drżącym nieco głosem.

— Spodziewam się tego. Jesteś podobno sierotą?

— Tak, panie hrabio!

— I nie masz rodziny?

— Nie, panie hrabio.

— No, to przynajmniej nie będziesz kradł dla wspierania biednych krewnych. Służyłeś podobno u handlarza koni?

— Tak, panie hrabio!

— Dobrze. Wymagam koniecznie, abyś siedział mocno w siodle. Codziennie będziesz jeździł konno najmniej dwie godziny. Umiesz czytać i pisać?

— Tak, panie hrabio!

Gaston był zadowolony i polecił Aleksandrowi zaprowadzić Roberta do krawca po liberyą.

Gdy wyszli, rzekł mu pan Aleksander:

— Spodobałeś się hrabiemu, i jeżeli się będziesz dobrze sprawował, możesz zrobić karyerę!

— Jestem bardzo szczęśliwy, — szepnął Robert skromnie.

Kilka godzin później był nowy groom hrabiego Noirville ubrany w wytworną liberyą i siedział na koźle obok stangreta z miną człowieka, do którego świat cały należy. Gdy wrócił do domu, pobiegł do swego pokoju i napisał do brata:

„Jutro o siódmej rano czekać cię będę na placu Konkordyi. Robert.“

Robert przyjął miejsce u Gastona pod nazwiskiem Henryka Parces, będąc przekonanym, że nieszczęśliwa ofiara jego nie żyje, ale tym razem — omylił się!

ROZDZIAŁ 15.

Gdy Robert ciało Henryka wrzucił w rzekę, myślał, że trup zsunie się do wody, że popłynie z biegiem fal, i że zostanie znalezionym daleko od miejsca, w którem zbrodnia została popełnioną. Lecz potwór ten nie obliczył się dokładnie z wszystkiemi okolicznościami, nie wiedział, że brzeg rzeki zarosły był krzewami dzikiego chmielu, którego poplątane łodygi zdolne były unieść tak lekki ciężar, jakim było ciało Henryka. I gdyby był poczekał chwilę, byłby zobaczył, że trup, spadając, zahaczył się na tych łodygach i tam też pozostał. Ale nie chcąc być spostrzeżonym, uciekł czemprędzej — nie miał też dosyć zimnej krwi i oględności wytrawnych zbrodniarzy, chociaż i ci tracą czasem głowę po spełnieniu zbrodni!

w wodzie i nie mógł się o niczem dowiedzieć, bo unikał

w wodzie i niee mógł się o niczem dowiedzieć, bo unikał mieszkańców Sain-Maur-les-Fosses, jak tylko mógł. Zresztą było miejsce, które wybrał dla wrzucenia swej ofiary w wodę,zupełnie puste. Rzadko kiedy zabłąkał się tu jaki przechodzień, i nawet praczki, chodzące do urządzonej w odnodze Marny pralni, zwykle inną chodziły drogą.

Ale przypadek, a raczej Opatrzność inaczej zrządziła owego dnia.

Było to około piątej, gdy dwie praczki, ciągnąc wózek napełniony bielizną, szły nad brzegiem rzeki, rozmawiając głośno z sobą. Nagle jedna z nich stanęła i pochyliła głowę.

— Co to — zapytała jej towarzyszka.

— Zdawało mi się, że słyszę jakiś jęk, — odpowiedziała praczka. — I to tam na dole.

— Może wodne szczury gryzą się!

— Nie — to był głos ludzki. I teraz znowu — słuchaj tylko......

— Tak, i ja teraz słyszałam, zupełnie wyraźnie!

Obie kobiety zostawiły wózek na drodze i przejęte ciekawością i grozą zeszły ostrożnie na dół.

— Patrz, — krzyknęła idąca naprzód, — tam leży trup!

— To jakieś dziecko!

— Całe ciało krwią zbroczone! Głupie chłopaki — zeskakują zawsze na dół — i ten pewnie zrobił tak samo i uderzył głową o kamień albo o korzeń drzewa!

— Byleby go kto nie zamordował. Patrz, Franciszko — ta rana......

— Zamordowany?

— Tak, gdyby był spadł, nie byłby tyle krwi stracił. Ale mnie się zdaje, że on się jeszcze porusza....

— Masz słuszność, — rzekła Franciszka, — on oddycha!

— Czy go spotkało nieszczęście lub zbrodnia, — zawołała towarzyszka Franciszki, pani Fautin, — nie możemy go tu zostawić bez pomocy. Najgorsze tylko, że my obiedwie nie będziiemy go mogły wynieść z krzaków na góre.

— Pewnie że nie, ale co robić?

— Trzeba uwiadomić żandarma.

— Pobiegnę po niego, — zawołała Franciszka i zadowolona, że może się oddalić z tego okropnego miejsca, puściła się pędem w kierunku wioski.

Pani Fautin natomiast pozostała przy nieszczęśliwym chłopcu i starała się rozpoznać twarz jego, ale i ona odetchnęła lżej, gdy po upływie dziesięciu minut pojawiło się dwóch żandarmów.

— Co się tu stało? — zapytał jeden z nich. — Przypadek czy zbrodnia?

— Mnie się zdaje, że zbrodnia, ale niech się pan sam przekona.

— Posłałam już po komisarza policyi i po lekarza, — oświadczył żandarm, oglądając ciało biednego chłopca. — Hm, zdaje się, że on zamordowany.

— Ale on żyje jeszcze, — zawołała Franciszka, której obecność żandarmów wielkiej dodawała odwagi.

— Tak. Przedewszystkiem jednak trzeba go wynieść na górę. Dalej panie Sabatier, podnieśmy go ostrożnie, jest to rzecz nie łatwa, bo w tem miejscu właśnie brzeg taki jest wysoki i spadzisty!

— Ej, damy sobie radę!

Obydwaj żandarmi ujęli teraz ciało Henryka i szli wolno pod górę.

— Nie ma wątpliwości, że to morderstwo, — mówił Sabatier. — Gardło ma biedak przecięte — i na plecach rana! Jakaż to niegodziwa zbrodnia! Napadać takiego chłopca! Nie ma on więcej, jak lat piętnaście!

— Okropna rana — całe gardło — ach, toć on już chyba żyć nie może, — wołała Franciszka, ocierając oczy.

— Zobaczymy, co doktor powie.

Żandarmi wynieśli Henryka nareszcie na górę. Cichy jęk dobył się z piersi nieszczęśliwego, a z rany znowu się krew polała.

— On umiera! — szepnęła pani Fantin.

W tejże chwili nadjechała dorożka z komisarzem policyi, jego sekretarzem i doktorem Tourasse, którego po drodze zabrano, a niedługo też zaczęli się gromadzić ludzie, chciwi zobaczenia czegoś nadzwyczajnego.

— Spełniono tu jaką zbrodnią — zapytał komisarz policyi.

— Tak jest, — odrzekł jeden z żandarmów.

— Ale ten chłopiec żyje jeszcze?

Doktor Tourasse tymczasem klęczał już przy rannym i badał go troskliwie.

— Morderca strasznie się z nim obszedł, — rzekł przerażony tem, co widział.

— Czy kto z was zna tego chłopca? — zapytał komisarz zgromadzonych.

— Nie, — odparł Sabatier, — ja się już pytałem o to.

— Ja znam wszystkie dzieci w tej okolicy, — odezwała się pani Fantin, — ale tego chłopca nigdy tu nie widziałam.

— To jakiś obcy!

— Dowiemy się z czasem wszystkiego, — rzekł komisarz. — Zarządzę ścisłe śledztwo. Teraz chodzi głównie o to, żeby tego biedaka zawieść do domu chorych i przywołać do przytomności. Co pan myślisz o tem? — zwrócił się do doktora.

— Obawiam się, że on w drodze skończy!

— Ale on przedtem musi nam powiedzieć......

— On nic nie powie! Obecnie jest nieprzytomnym, a chociażby odzyskał przytomność, chociażby i żył dalej, to będzie niemym na całe życie!

— Boże Wielki! Co tu robić?

— Każ pan przygotować nosze, a ja tymczasem opatrzę rany!

I podczas kiedy lekarz opatrywał jak najstaranniej rany Henryka, badał komisarz świadków i kazał spisywać protokół. Ale nie dowiedział się niczego, bo chłopca nikt z obecnych nie znał, i nie znaleziono przy nim nic, coby mogło wskazywać jego nazwisko lub miejsce pochodzenia.

Wkrótce przygotowano nosze i dwóch robotników zaniosło go do szpitala św. Antoniego, a komisarz pojechał do prokuratora i opowiedział mu całą tę sprawę!

ROZDZIAŁ 16.

Dzień ślubu Nory nadchodził prędzej, niż sobie młoda dziewczyna tego życzyła. Helenka opuściła także już klasztor i przebywała u matki, która umyślnie przyjechała z Szwajcaryi do Paryża, aby być na ślubie Nory.

Nora prosiła narzeczonego, aby ofiarował w swym domu mieszkanie hrabinie Beaumont i Helence, na co się Gaston, chociaż niechętnie, zgodzić musiał. Niecierpiał on Helenki, obawiając się jej złośliwych dowcipów, nie lubił też jej matki, która mu niezmiernie imponowała swem wykształceniem i wytwornością — ale nie mógł odmawiać prośbie Nory, tem więcej, że odmową ubliżyłby hrabinie. Ułożono więc, że pani Beaumont i Helenka zamieszkają na kilka dni przed ślubem w pałacu Noirville i zostaną tam aż do wyjazdu młodej pary za granicę. Hrabina ofiarowała za to Gastonowi na pobyt latowy swoją piękną wilę, położoną nad Jeziorem Genewskiem. Gaston przyjął propozycyę tę z uprzejmym uśmiechem, lecz w duszy postanowił nigdy z niej nie korzystać — nie chciał bowiem, aby żona jego przyjaźniła się nadal z nienawistną mu hrabiną. Nie lubił on, gdy się kto mieszał w jego sprawy domowe i umyślił sobie wywieść Norę na wieś, bez względu na to, czy ona się na to zgodzi, czy nie. Zmęczony i przesycony życiem paryzkiem, pragnął teraz ciszy wiejskiej, i w tym celu wydał rozporządzenie, aby przygotowano dla niego i Nory jeden z dworów, jakie posiadał w Bretanii, wśród lasów i pól żyznych.

Odwiedzał teraz Norę codziennie, lecz pomimo niezmiernej swej zarozumiałości musiał zauważyć, że nie zdołał sobie jeszcze pozyskać jej serca. Nora była dla niego grzeczną, unikała go jednak, jak mogła i nigdy nie usłyszał od niej serdeczniejszego słowa.

Inny byłby się może zrzekł ręki dziewczyny, która kocha innego ale Gaston lekceważył sobie tę obojętność narzeczonej. Nie wierzył on w miłość — jemu chodziło tylko o to, aby Nora została jego żoną i aby mógł korzystać z jej majątku — chciwość bowiem była główną wadą jego charakteru.

Nora zimna i obojętna dla narzeczonego, płakała całemi godzinami za swem utraconem szczęściem i rozmowa z Helenką o Lucyanie była jedyną jej pociechą. Nie mogła zapomnieć Lucyana, wyrzucała sobie, że nie ma dosyć silnej woli, aby stawić opór opiekunowi, i gdyby był Lucyan żądał — byłaby, pomimo swej wrodzonej nieśmiałości porzuciła wszystko i podążyła za nim.

Ale Lucyan milczał — duma jego nie pozwalała na to. Wolał cierpieć, niż narazić się na pogardę ludzi, wszyscy bowiem byliby myśleli, że chodzi mu tylko o majątek Nory.

— Nie słyszałaś nic o nim? — pytała Nora Helenki.

— Nie!

— Ach, jak bym ja wiedzieć pragnęła, co się z nim dzieje!

— Może on już wyjechał!

Te pytania powtarzały się prawie codziennie.

Gdy Gaston odwiedzał narzeczoną, towarzyszył mu zwykle nowy jego groom. Robert przyzwyczaił się wnet do swej służby, która wcale ciężką nie była — żądano od niego tylko, aby starannie czyścił hrabiemu ubrania, aby się dobrze obchodził z końmi i był punktualnym, a konne przejażdżki umożliwiały mu widzenie się z Lolą i Alfonsem i obradowania z nimi nad nową zbrodnią.

Przytem mógł obserwować dokładnie wszystko, co się działo w pałacu i w domu notaryusza, bo chociaż siedział zawsze tylko na koźle — to nie musiałby być Robertem, gdyby się nie był miał dowiedzieć, co się w pokojach działo.

Zdarzało się często, że odwoził hrabiego do notaryusza, a potem wracał z powrotem do domu i wieczorem dopiero przyjeżdżał po niego. Te wolne chwile umiał doskonale wyzyskać — niepostrzeżony biegał po ogrodzie i pałacu, przeglądał wszystkie kąty i zrobił bardzo ważne odkrycie, korzystne dla wykonania swej obmyślanej zbrodni.

ROZDZIAŁ 17.

Mur, otaczający ogród przy pałacu Noirville, był cały tak obrośnięty bluszczem i innemi roślinami pnącemi, że nie było go wcale widać. Dlatego zdawało się, że ogród ciągnie się jeszcze dalej, podczas kiedy w rzeczywistości nie był on wcale zbyt rozległy, tylko graniczył z innym, o wiele rozleglejszym.

Robert zauważył to wnet i przedewszystkiem przekonał się, jak mur ten był wysokim i szerokim. Przy tej sposobności znalazł najpierw sztucznie ukrytą ścieżkę, ciągnącą się wzdłuż muru, a potem drzwi, obrosłe powojem i bluszczem.

— Otóż są i drzwi, — pomyślał uradowany. — Zawsze to pomoc wielka, a ja sądziłem już, że będę musiał przejść przez mur.

Rozgniewał się jednak, spostrzegłszy, że drzwi są zamknięte na zamek i dwa rygle, zupełnie zardzewiałe.

Był to zbytek niepotrzebny, tem gorszy, że rygle nie dały się w żaden sposób odsunąć. Robert wiedział, że kilka kropel oliwy zaradzi złemu, ale do zamku nie miał klucza i nie domyślał się bynajmniej, gdzie klucz ten może być schowanym. Może nawet nie było go wcale — może go oddawna zgubiono — rdza na zamku i na ryglach była dowodem, że od kilku lat nikt tędy nie przechodził.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Strzał huknął zanim olbrzymi zwierz zdążył ratować się ucieczką...
(„Wczasy królewskie".)

2

Wczasy królewskie.

Fragment z wyprawy Stefana Batorego.

Przez Józefa Ryszkiewicza; z illustracyami.

Gdy marszałek, wydawszy potrzebne do jutrzejszych łowów rozkazy, udał się do rozbitego na prędce namiotu króla, zastał go pochylonego nad polowym stołem. U zasłon wchodowych stał poseł od kanclerza; zwój listów i papierów zapowiadał długą i mozolną pracę. Znać że i kanclerz nie próżnował. Wielkie świece woskowe oświecały wnętrze namiotu, dwóch pisarzy oczekiwało na rozpoczęcie dyktanda odpowiedzi.

— Takie to twoje wczasy, miłościwy królu — rzekł marszałek — nie chybi, noc przejdzie przy pracy. A podjazdy spotkały nieopodal stado łosi i barłog niedźwiedzi. Więc rzeczywiście wartoby jutro na łowy.

— Myśl o tem, mości marszałku, aby nam łosie i niedźwiedzie nie uciekły. Trzeba, korzystając z jasnej nocy, nakarmić i wysłać tych, co je widzieli, aby obszedłszy tyły, mieli zwierza na oku. Ani łoś, ani niedźwiedź w stronę naszą nie ruszy, ale będzie chciał się dalej wycofać; niech więc tego pilnują i dają nam do dnia znać. Na łowy pojedziemy w kilku. Hetman polny, wojewoda bracławski, Zborowski, waść, panie marszałku, i kilku sprawniejszych dworzan. Hetman nadworny niech zostanie przy wojsku. Zaczniemy od łosi. A teraz bądź mi waść zdrów, panie marszałku. Ruszamy do dnia.

* * *

Zaledwie ranek począł rozpraszać cienie nocy, gdy przed namiotem króla stał już osiodłany wierzchowiec a kilku dworzan i pachołków czekało przy koniach na ukazanie się pana. Z kuchni królewskiej wyniesiono dzban grzanego piwa, nalewając i częstując czekających u namiotu. Podobny posiłek zaniesiono już królowi.

Niebawem odezwały się rogi, warty sprezentowały broń, z namiotu wyszedł Batory, a za nim postępował marszałek nadworny Radziwiłł i hetman polny. Król przyjaznem pochyleniem głowy i ruchem ręki powitał kłaniających się dworzan.

W tejże chwili, przyszedł w pełnym galopie wojewoda bracławski, Zborowski, z kilku dworzany. Osadziwszy konia przed królem, jął się sumitować z opóźnienia.

— Nic to; jeszcze będziemy na czas, byle tylko łosie nie wymknęły się bokiem. Pod wieczór zwrócimy się na drugą stronę wojska, ku niedźwiedzim barłogom. Ale snać trudno było wyrwać się z objęć Morfeusza, mości wojewodo?

— Nie miałem ja ci czasu na spanie. Nim do swego wojska zajechałem, objechałem ogniska i namioty, sprawdziłem warty, wysłałem podjazdy, dobrze już było po północy; tyle tylko, żem do kulbaki głowy przyłożył, gdy mi konia zmieniono, lecz już wnet trzeba było ruszać.

— Oho! przymawiasz nam!.. Widać, że bardziej wyspani jesteśmy, a myśmy tu też nie próżnowali. Hetman, by mu się nie nudziło, też zlecenia do litewskiego wojska wydawał. Trzeba, by Litwa ruszyła większym podjazdem pod twierdzę, dla dostania języka i obejrzenia pozycyi. Sąd wojenny również sprawować nam przyszło. Złapał podjazd trzech maruderów z pod chorągwi Zamoyskiego. Młodziaki to i rekruci. Powiadają, że zobaczyli po wzięciu Wieliża, iż kanclerz na statkach żywność i armatę Uświatą wyprawia, zlękli się głodu i drogi przez bory, jakich nigdy, pochodząc z Kujaw, nie widzieli, za namową więc kilku starszych uciekli, chcąc wrócić do domu, a było ich około dwudziestu. Kanclerz pogoń rozesłał, zbiegów połapano i jak wiem z jego raportu, kilku powiesić a reszcie przykładne plagi zaaplikować rozkazał. Tych trzech umknęło pogoni, lecz już od tygodnia błąkają się po puszczy. Glupie to chłopaczyska i dobrze strachu i głodu za karę zażyli. Odeszlę ich kanclerzowi, niech ich sam sądzi.

Tak gwarząc, jechali stępa, zagłębiając się w gęstwiny leśne. Na przodzie za przewodnika jechał żołnierz podjazdu, który spotkał wczoraj łosia. Wkrótce trzeba było już to gęsiego, już na swoją rękę szukać przesmyka śród gąszczów, jakiemi las był podszyty. Bory takie wzdłuż granic

państwa ościennego pozapuszczano od lat dawnych, by przystęp do pogranicznych twierdz utrudnić. Jechano już ze dwie godziny. Ciszę leśną przerywał tylko trzask gałęzi, czasem parsknięcie konia lub krzyk stójki. Czasem zakwiliły w oddali młode jastrzębie, które choć lotne, jednak jeszcze pomocy rodzicielskiej wyczekują.

Powoli bór zaczął rzednąć, grunt stawał się bardziej czarny i wilgotny, jeźdźcy znów zjechali się na chwilę razem dla narady, co i jak dalej czynić. Przewodnik wskazał poczynające się bagno, jako miejsce, gdzie wczoraj właśnie ukryło się z dziesięć sztuk łosi. Nadjechał także pędem posłaniec od królewskiego sekretarza, wioząc wygotowanych kilka listów do podpisu, oraz te, które po wyjeździe króla z obozu nadeszły. Marszałek podał inkaust i pióra, w podróżnym przyborze zawarte, a król kazał, aby nie tracąc czasu, kilku z obecnych objechało bagno, uważając dobrze, czy łosie gdzie bokiem nie wyszły.

— Ślady będą znaczne, bo ziemia wilgotna, — dodał.

Gdy hetman polny z wojewodą, wziąwszy sobie po dwóch dworzan, rozjechali się brzegiem moczarów, Stefan Batory nie zsiadając z konia, oparłszy małą deseczkę na przednim łęku, którą wraz z przyborami do pisania podał mu marszałek, jął odczytywać i podpisywać nadesłane papiery. Zaledwie ostatni skrypt wręczył posłowi, gdy żołnierz przewodnik dał znak uciszenia się a podjechając do króla, rzekł z cicha. ,

— Łosie tuż... Idą stadem na nas; słyszałem plusk błota i szum gałęzi, zabeczało łosie a klępa mu odpowiedziała . Cofnijmy się, miłościwy panie, w krzaki, zaraz nadejdą. Wiatr od bagna, więc nas nie poczuły, ja je znam, bom przecież od dziecka w borach wychowany.

Król dał znak i wszyscy cicho cofnęli się w zarośla. Zsiadłszy z koni stanęli półkołem z samopałami w ręku, czekając na zwierza. Przy każdym wetknięta była w ziemię krótka włócznia dla obrony, w razie gdyby raniony zwierz rzucił się na myśliwego. Pachołkowie przy koniach winni byli zaraz podprowadzać rumaki, gdy tylko usłyszą strzały, gdyż wtedy myśliwi, dosiadłszy wierzchowców, doganiają ranne sztuki lub puszczają się w pogoń za uchodzącemi.

Dwóch jeźdźców pomknęło brzegiem lasu w dwie przeciwne strony, by wstrzymać tych, co wyjechali na obejrzenie bagna i dać rozkaz, aby pilnowali na skrzydłach.

Król stał za olbrzymim pniem sosny, za nim umieściło się dwóch dworzan z nabitą bronią dla zmiany, w ziemię zatknięto kilka włóczni od wypadku. Batory, trzymając rusznicę w ręku, opartą o pień, śledził bacznie ruch gałęzi na bagnie i łowił uchem wprawnego łowcy każdy szelest, każde trzaśnięcie gałęzi. Owładnęła nim całkowicie namiętność myśliwska, jedyna, której śród trudów obozowego życia czasem hołdował.

Chłapanie płaskich racic w błocie zaczęło być bardzo wyraźne, zaszumiały i zatrzeszczały gałęzie, a na brzeg wynurzył się wspaniały rogacz. Ustrojony pękami dzikiego chmielu, jaki śród zarośli poprzyczepiał się mu do rozsochatych ozdób głowy, wyglądał dziwnie wspaniale.

Wstyd się snać zrobiło królowi strzelać z ukrycia, więc zmierzył się szybko, wyskoczywszy, i z za drzewa strzał huknął, zanim olbrzymi zwierz zdążył ratować się ucieczką (patrz illustracyą). Gdy dym się rozwiał, ujrzano leżącego łosia bez ruchu. Ugodzony w komorę, właśnie kiedy ujrzawszy króla, zawracał do odwrotu, poniósł śmierć na miejscu. Idące za nim łosie, szybko skryły się przerażone śród bagnistych zarośli.

— Na koń! — zawołał król, oskoczyć zarośla naokoło! Poczem ująwszy srebrny róg, zatrąbił trzykrotnie. Na ten znak kilku z będących na przeciwnej stronie bagna żołnierzy, miało wejść do środka i krzykiem płoszyć zwierza. Wystraszone łosie w rozsypce pojedyńczo poczęły wymykać się z moczarów do boru. Tu i owdzie padły strzały, zatętniała ziemia i jeździec z włócznią puszczał się w pogoń za zwierzem.

Król stojąc na pagórku, długo przysłuchiwał się głosom łowieckiej zabawy, w tę stronę bowiem, zrażone widać strzałem łosie nie wychodziły; gdy w tem zupełnie niespodzianie skacząc z kępy na kępę ukazał się ogromny niedźwiedź. Snać oślepiony blaskiem słońca, nie spostrzegł zrazu stojących w cieniu drzew jeźdźców, bo prosto biegł w tę stronę. Koń królewski młody i jeszcze nie obyty z podobnym widokiem, rzucił się w bok. Miś stanął jak wryty; z chwili tej skorzystał marszałek, a natarłszy koniem, wypalił z odległości kilku kroków do niedźwiedzia. Zwierz podniósł się na zadzie, ryknął, z boku poczęła iść mu obficie posoka, farbując trawy i wrzosy, mimo to pędem puścił się ku pagórkowi wprost na stojących jeźdźców.

Król, ku któremu poskoczyło kilku dworzan, by pomódz pohamować rozhukanego rumaka, w biegu zeskoczył z niego i gdy koń z podniesionym ogonem i rozdętemi chrapy bujał po lesie, Batory, chwyciwszy oszczep z rąk pachołka, ruszył wprost na niedźwiedzia. Miś mrucząc złowrogo, zatrzymał się chwilę, gotując się do ataku na następującego nań myśliwca. Z chwilą gdy zwierz wspiął się na zadnie łapy, skorzystał dzielny łowiec, podstawiając oszczep pod olbrzymie cielsko niedźwiedzia. Za chwilę żelazo zagłębia się w piersi zwierza, ostrze jednak osunąwszy się po żebrach, bez przyczynienia wielkiej szkody wyszło wraz z drzewcem z boku, poza przednią łapę. , Ryknął straszliwie ranny kudłacz i rzucił się, nie zmieniając postawy na bezbronnego króla. Dworzanie straciwszy na chwilę przytomność, zamiast podać broń, sami skoczyli z włóczniami na niedźwiedzia i byłby może dzielny myśliwiec uległ smutnemu wypadkowi, gdyby nie to, że marszałek, chwycił z olster pistolet, a podjechawszy jeszcze raz do zwierza, wypalił mu w ucho, kładąc trupem u samych stóp cofającego się króla. (Patrz illustracyą albumową.)

Na odgłos rogów poczęli zjeżdżać się rozbiegli za łosiami myśliwi, ciągnęli oni za sobą kilka sztuk zwierzyny na linkach, przytroczonych do siodeł. Rezultat łowów w tak krótkim czasie okazał się bardzo pomyślny: cztery łosie i olbrzymi niedźwiedź, choć okupiony niebezpieczeństwem, radował mocno Batorego, rozkazał też zajrzeć do troków po opłatankę i kubki, aby słusznie należne wypić pogrzebowe, a że to był czas blizki południa i słońce bardzo zaczęło dopiekać, więc umieściwszy dworskie konie w cieniu, dano im w torbach po trochu obroku. Żołnierze zaś, spętawszy, puścili swoje wierzchowce na porosłą bujną trawą polankę u brzegów bagna.

Rozpalone ognie i młoda łosina poczęła niebawem łechotać powonienie myśliwych, opiekając się na rożnie. W kociołkach, zdjętych z koni jucznych, gotowano żołnierską zupę z krup i tłustych kawałków mięsiwa, nie żałując pieprzu ani innego ziela. Pod olbrzymią lipą siedział król, a nieprzespane noce sprowadzały powoli sen, to też niebawem kazał podać sobie siodło i oparłszy się na niem zasnął. Za przykładem monarchy poszli niebawem i towarzysze wyprawy. Siedząc kiwali się tedy, jako żydy nad talmudem, i dopiero gdy dano znać marszałkowi, że zupa gotowa, a pieczeń już się dopieka, począł budzić hetmana i wojewodę bracławskiego, gdyż trzeba, rzekł śmiejąc się, nakrywać do królewskiego stołu.

Dwóch dworzan rozpostarło na ziemi mocno potem końskim trącący ko-

bierczyk, wydobyto z trok kilka cynowych misek i takich-że łyżek, położono bochen razowego, dobrze już czerstwego chleba, pośrodku zaś stanęła mała beczułka wina i kilka kubków. Marszałek zwrócił się wtedy do króla:

— Wybacz, miłościwy panie, iż cię budzę, ale uczta gotowa, a ponoć dawno już takiej nie mieliśmy na twym dworze.

— Mam nadzieję, że nie prędko się podobnej doczekamy, gdyż chyba już więcej tego marudztwa nie będzie. A choć łowy dzisiejsze są jako balsam na nasze trudy i niepokoje, to jednakże nawet tych leków wyrzec się jestem gotów, byle raz wyprowadzić wojsko z tych pustkowi.

Przyniesiono kociołek, z którego napełniano misy zupą i zapanowała cisza, znać, że apetyt służył. Pieczeń ułożono na półmisku z kawałów kory brzozowej, a choć może nie dość krucha, smakowała wyśmienicie.

Zbliżała się uczta ku końcowi, poczęto radzić nad dalszym ciągiem łowów, gdy w tem, jak na komendę zarżały radośnie konie.

— Ktoś zajedzie z obozu, bo szkapy radują się swemu.

— Może jaka nowina od kanclerza, — rzekł król.

— Zaraz się dowiemy, słychać już głosy jadących. Znać, że to ktoś z litewskiego wojska, bo mignęła mi się szara suknia. Zjeżdżają z pagórka ku nam.

— Racya, wojewodo — rzekł — wpatrując się w głąb leśną hetman polny, trzeba im dać głos, bo się trochę zmylili i mijają bokiem, to mówiąc uderzył w trąbkę a po chwili trzech jeźdźców przygalopowało przed króla.

Jeden z nich był znużony i zabłocony. Na koniu widniał zaschnięty pot z kurzem i błotem zmieszany, drugi zaś oficer z pod nadwornej chorągwi i pachołek. Gdy zsiedli z koni, oficer meldował, iż do obozu przyjechał towarzysz z litewskiego wojska, donosząc, że dziś w nocy, chodząc w podjeździe ku drodze smoleńskiej, najechali na czambuł Nogajców, którzy na brzegu lasu spokojnie rozsiodławszy konie, biwakują. Podjazd nie zaczepiając ich wcale, cofnął się, a tego oto towarzysza wysłał oficer do ciebie, miłościwy panie, z wieścią, gdyż Tatarzy, zwiedziawszy się o naszym pochodzie, mogą próbować z boku niepokoić wojska.

— Jak daleko ztąd mogą znajdować się Tatarzy? — pytał król Litwina.

— Będzie z pół dnia drogi.

— A doprowadził byś nas, towarzyszu, do ich legowiska?

— Czemu nie, najjaśniejszy panie; wszakże byłem w podjeździe, oni są nawet bliżej tej strony, bo myśmy, zobaczywszy ich tropy, za nimi na prawo zboczyli.

— Byle tylko doleżały kozie syny wtrącił hetman.

— At, czemuż-by nie, wszak oni umyślnie tam legli. Mają i rzeczkę i łąki, będą rozsyłać zagony ku wojskom kanclerza, albo i naszym, jak się o nas zwiedzą; ale teraz to z tej strony są spokojni, wiatr od nich, to i strzałów nie było słychać, coście tu waszmoście, z ich miłością dawali do zwierza.

— Darujmy życie niedźwiedzicy i piastunom, a niech tam z obozu kto podjedzie zluzować tych, co pilnują barłogu, my sobie lepsze urządzim łowy. Ruszaj, towarzyszu, posilić się do kociołka, nim resztę zjedzą, a ty mości oficerze jedź do obozu i niech mi tu, ale duchem, stanie pól chorągwi węgierskiej piechoty i jedna chorągiew kozacka, przywieźć także dla nas luźne konie na zmianę; z dworzan na ochotnika niech kilku też przybędzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Obrona Olsztyna 1587-go roku.

Z niewydanych poezyi
Ignacego Łyskowskiego.
Obrona Olsztyna.

(Wspomnienie historyczne).

„Wówczas — a dziś“.

Posłuchaj krwi polska, w jakie to czyny
Twa matka Ojczyzna była bogata,
Jaką to cnotą słynęły jej syny
I jaka ztąd sława była u świata.

Zawcześnie dla kraju umarł Batory,
Rządzca kochany i wojownik śmiały;
Żałoba zapadła, wzmogły się spory,
Kogo posadzić na tron owdowiały.
Krew Jagiellonów w Zygmuncie płynęła —
A Polska gorąco ród ten kochała,
Więc cała szlachta „Zygmunta“ krzyknęła
I cała Polska „Zygmunta“ wołała!

Tylko Zborowscy z Zamojskim w niezgodzie,
Mszcząc się, że bratu ich kazał ściąć głowę,
Burzą umysły i wichrzą w narodzie
Na księcia Rakuszan prowadzą namowę. —

Już Niemiec z wojskiem do Polski się wali,
Wprost idzie na Kraków, rabuje i pali.
Już wdarł się do kraju chciwy korony,
Już stawa przed Olsztyn gość nieproszony.

Kasper Karliński dowodził w Olsztynie,
Co siedmiu synów na wojnie utracił,
Polak zwyczajnie, co nie dba, czy zginie
Byle Ojczyźnie dług swój odpłacił.

Gdy książę niemiecki zbrojno i tłumnie
Zamek olsztyński otoczył dokoła,
Na małą załogę patrząc się dumnie,
Już pełen zwycięztwa: „Poddajcie się“ woła.

Na to Karliński powiada do wroga:
„Wara od zamku — a póki mnie stanie
„Nie wejdzie w te mury niemiecka noga,
„Przysięgam na to! dopomóż mi Panie!....“

Z hukiem wojenna wzmaga się wrzawa,
Bo książę Rakuszan zażarcie naciera,
Ale z Karlińskim niełatwa rozprawa
Już ósmy szturm wroga mężnie odpiera. —

Gdy razu jednego świta poranek,
Wróg zniknął z pod murów, opuścił zamek,
Poszedł niespyszna — już widzi jak w dali,
Mszcząc się, wioszczyny rabuje i pali.

Karliński, widząc w ucieczce wroga,
Gromadzi w kaplicy walecznych żołnierzy;
Modły dziękczynne zanoszą do Boga,
„Kto się w opiekę“ brzmi hymn rycerzy.

Z kaplicy na ucztę wódz wszystkich prosi;
Już krążą puhary, już grzmią wiwaty,
„Niech żyje Ojczyzna“ wódz toast wznosi,
„Niech żyje dowódzca“ krzyczą mu światy.

Wtem z komnat przybocznych wchodzi chłopczyna,
Wodza syn ósmy, ostatnia pociecha —
Młoda i piękna, jak anioł dziecina,
Ojcu się mili, wojakom uśmiecha.

Karliński posadził dziecię na łonie
I rzecze, strzeliwszy okiem do nieba:
„Siedmiu straciłem w Ojczyzny obronie,
„I tego poświęcę, gdy będzie potrzeba.“

Wojacy z koleji piecszczą dziecinę,
Wtem chłopiec się prosi, aby na chwilę
Pozwolił ojciec wyjść z niańką w dolinę,
Po długiem zamknięciu gonić motyle...

. . . .

Już słońce się chyli, niema chłopczyny,
Próżno na zamku śledzą oczyma,
Głosy posłańców oddają doliny,
Lecz chłopca i niańki jak nie ma, tak nie ma!

Nazajutrz ze świtem wrogi wracają;
Znów wrzaskiem wojny zawrzała dolina,
Lecz cóż przed sobą wrogi tam gnają?
Boże!... to dziecię dowódzcy Olsztyna!..

Pełni zwycięztwa wprost idą na wały,
Na samym przodzie chłopczynę prowadzą...
Zbladł ojciec — dowódzca i zadrżał cały,
Zbladli rycerze i poddać się radzą.

Lecz on Ojczyznę nad dziecko przekłada —
„Ognia!“ zawołał, stają żołnierze —
„Ognia!“ powtórzył, truchleją rycerze,
Lont zapalony z rąk im wypada...

Wtem dziecię na przodzie ojca poznaje,
Płacze i rączki do niego wyciąga...
Wróg kroczy naprzód, na murach już staje...
Dowódzca rozpacza, wróg się urąga...

Karliński lont porwał, działo zapala,
Drżącą lewicą oczy zasłonił...
Działa ryknęły... wróg trupem się zwala —
Wódz dziecię stracił — lecz Olsztyn obronił!

Widzisz krwi polska, w jakie to czyny
Twa matka Ojczyzna była bogata,
Jaką to cnotą słynęły jej syny
I jaka stąd sława była u świata.



Huzar polski z roku 1812-go.

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny).
Napisał Karol Cieszewski.

XXIX.

Zasiane nasienie wschodzi.

Ówczesna myśl rozbioru krajów Rzeczypospolitej, w stolicy carów wylęgla, przeniosła się na pielęgnowanie do Berlina.

Ks. Henryk opuścił Petersburg przy końcu stycznia (1771 r.), a w pierwszej połowie lutego przybył do stolicy pruskiej, aby bratu i panu zdać sprawę z podjętej misyi.

Między innemi, wystąpił także projekt podziału Polski. Król się oburzył, uważając to za podstęp Moskwy. Nadaremnie zręczny książę tłumaczył bliżej myśl swoją. Fryderyk robił mu cierpkie wyrzuty, osądzając projekt za potworny i niebezpieczny.

Urażony do żywego książę „oddalił się, długo zachowując w sercu boleść; król zaś trwał w przekonaniu, że zmowa ta splami jego historyą, a pomiędzy zmownymi zostawi wieczne nasienie niezgody“...

Naturalne to jednak, bo pierwsze uczucie prawości i sumienności, przeminęło prędko w sercu króla. Zaraz na drugi dzień kazał przywołać brata, uściskał go bardzo serdecznie, unosił się nad podanym sobie planem i polecił mu wymiarkować politykę austryacką.

Nie uczucie sprawiedliwości, ale jedynie interes państwa rządzi polityką gabinetów. Van Swieten, rezydent austryacki w Berlinie, zaczepiony podczas powitania dworskiego wracającego z podróży książęcia, odebrał przez usta księcia oświadczenie, „że jeżeli Austrya będzie przychylną w negocyacyach Moskwy, ta chętnie zezwoli na rozszerzenie jej państw“. — „W którym kraju?“ — zapytał Van Swieten. — Na co mu książę odpowiedział:

— Znasz Wpan równie dobrze jak ja, co mógłby wziąć dwór jego, a co Moskwa i Prusy są w stnnie odstąpić...

Tak mówił przez usta brata król, który w swoim pamiętniku następujące, a bardzo prawdziwe zapisał twierdzenie: „Wszelki dumny zamiar rozszerzania granic z obrazą praw cudzych, podbicia narodu obcego wbrew jego woli lub wyzucia własnego z praw mu służących; jest największym głup-

stwem, nigdy bezkarnie nie uchodzącem.*) — Pięknie pisał król filozof, ale tylko pisał; bo przez cały czas długiego panowania swego ciągle tylko o zaborach myślał i cudze zabierał...

Kaunitzowi propozycya Prus bardzo się podobała. „Uśmiechnął się dyplomata, — powiada Nabielak — o powody wkroczenia wojsk, dawano odpowiedzi, poczem znowu się pytano — a w gruncie było łakomstwo, niedowierzanie sobie i oszukiwanie się wzajemne.

Skoro myśl podziału krajów polskich przyjętą została przez gabinety austryacki i pruski, działanie obu



H. Flere. **Przerwanie zebrania komitetu strejkowego w Moskwie.**

zapomniał o wynurzonym wstręcie do zasad króla, a pobożną, konfederatom cnoty przyznawającą Maryę Teressę, nienawidzącą imperatorowę Katarzynę, nakłonił ku przyspieszeniu wyprawy posła do dworu petersburskiego. Książę Lobkowitz przy końcu marca wyjechał dla zajęcia osieroconego za panowania Katarzyny II. ministerstwa austryackiego. Wysłanie to miało mieć jedynie na celu załatwienie pokoju z Turcyą; jakoż autor pisma: „*Souvenirs du Comte de *** sur le premier demembrement de la Pologne*“ świadczy, że poseł austryacki w Berlinie dopiero podpisał umowę dnia 4 marca 1772 co do Polski, a Ferrand utrzymuje zgodnie, że dwór wiedeński w tymże miesiącu i roku przesłał instrukcye księciu Lobkowitzowi do Petersburga“...

Układy te dyplomacyi bardzo były znaczące, bo popierały je zbrojne działania, a wojska pruskie coraz głębiej wdzierały się w polskie kraje. Dla zamaskowania prawdy, której się wstydzono, trwały pozornie jakieś ciągłe dyplomatyczne rokowania: pytano się państw przeciw konfederacyi stało się bardziej jeszcze nieprzyjazne, jako planom ich przeciwne. Prusy wystąpiły jawnie — Austrya starała się zachować jeszcze czas jakiś względy życzliwości.

Układy o pierwszy rozbiór Polski przyszły do potwierdzenia Moskwy i Prus dopiero w lutym r. 1772, Austrya ostatnia, bo w marcu tegoż roku pełnomocnictwo przysłała, traktat zaś podpisano w Petersburgu dopiero 5 sierpnia...

Tak więc propozycye pruskiego księcia dobrze się przyjęły i pomyślny wydały owoc.

*) Dohms Denkwürdigkeiten. Tom IV., str. 78.

33

Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego

(Ciąg dalszy.)

Wymógłszy na nim przyrzeczenie, że będzie powstrzymywał się od rozmowy, przysunęła do łóżka jego krzesło, usiadła, miękką swą dłonią dotknąwszy jego czoła, aby się przekonać, czy ogień gorączki już ustąpił, zaczęła mu opowiadać, dlaczego sama znajduje się tutaj, a nie w Warszawie, jak on przybył do tej wioski galicyjskiej, jak książę Józef ze szczególniejszym naciskiem zalecał pieczę o jego zdrowiu, jak walczył ze śmiercią i jak jest dzisiaj już na drodze do zupełnego wyzdrowienia i do niesienia niebawem służb swych na pożytek kraju.

Szumlański w słowa te, wymawiane slodko, wsłuchiwał się jakby w jaki chór anielski całą swą duszą, ale bądź że znużenie wyczerpało mu siły, bądź że ta cudna a przyciszona melodya zbawiennie działała na jego nerwy, dosyć, że zasnął znowu powoli, pragnąc być może, aby to, co brał za sen i piękne marzenie nie pierzchło, jak złudna mara.

Ewunia, widząc go zamykającego powieki, przycichła, a jemu zabrakło widocznie tej do snu kołyszącej melodyi, dosyć, że nagle porwał się na łóżku swem, i zapewne idąc za ciągiem myśli swoich, zapytał:

— No, a cóż ks. Józef, nieprawdaż, że on zawsze zwycięzca?

Ewunia obawiała się niepokojącemi wiadomościami podrażnić chorego, tem więcej, że zdaniem wielu poważnych ludzi, sprawa napoleońska, a więc tem samem i polska przepadłą bynajmniej nie była. Potakiwała więc ogólnikowo, albo szeroko opowiadała, że w Krakowie i innych stronach kraju tworzą się nowe szeregi ochotników, że pod wodzą ks. Józefa powstanie

siła, jakiej jeszcze w Polsce nigdy nie widziano i że najśmielsze nadzieje ziszczone zostaną. Szumlański nie posiadał się z radości. W oczach co chwila zapalał się ogień zachwytu, pierś oddychała prędzej, jakby nie mogąc naraz tyle pochłonąć szczęścia.

Podobne rozmowy powtarzały się codziennie, a w miarę wzrastających sił chorego były one coraz dłuższe i w końcu dzień cały zabierały. Ewuni towarzystwo było dla niego silniejszem lekarstwem, aniżeli wszystkie medykamenty i jeśli zostawał go pozbawiony na czas pewien, popadał w smutek podobny temu, jaki go opanował po powrocie do Warszawy, kiedy się dowiedział o wyjeździe pani Tyszkiewiczowej lub w czasie całej kampanii 1812 roku.

W miarę ustępowania choroby pułkownik począł dźwigać się z łóżka i posadzono go najpierw w fotelu, który następnie przesuwano z nim z pokoju do pokoju. Skoro wreszcie zawitał uroczy maj, a wraz z nim balsam ciepła rozlał się w powietrzu, wyprowadzono go do ogrodu. Tutaj wspierając się na ramieniu legionisty, który z wioski tej pochodząc, przy nowej swej dziedziczce chciał już dokonać reszty żywota, niby dziecko małe uczył się chodzić.

Zawsze jednak w czasie tych wycieczek znajdowała się troskliwa Ewunia, i bądź rekonwalescenta z całą pieczołowitością kobiecą pilnowała na każdym kroku, bądź zajmowała go swoją rozmową i wiadomościami, przywiezionemi ze świata, których Szumlański był ciekawy i chciwy.

Jeśli wiek jest młody, jeśli siły niestargane i świeże, po najcięższem nawet przejściu fizycznem zdrowie powraca szybko, natura się krzepi i odzyskuje swe prawa. Szumlański też bardzo prędko powracał do siebie i nim prześliczny w owym roku maj do końca dobieżał, nietylko odzyskał zdrowie i elastyczność ciała, ale rumieńce zakwitły mu na policzkach, oko nabrało blasku, a wola rwała się do czynu.

W miarę jednak jak odbywała się w nim ta metamorfoza, Ewa coraz więcej poświęcająca się innym chorym, potrzebującym pomocy, coraz mniej bawiła go rozmową swoją.

Robiło to na nim przykre wrażenie. Bez niej było mu tęskno i smutno; cierpiał wtedy i nieraz przychodziło mu na myśl pytanie, czyli tego serca, które tak żywo dla niego niegdyś biło, w którem teraz tyle odnajdywał skarbów, nie zmieniło litościwe uczucie przyjaźni.

Zapytywał wtedy siebie, czyżby już dawna miłość w sercu jego wystygła, i dziwna rzecz, o hrabinie Tyszkiewiczowej myślał jeszcze dotychczas z wielkim żalem, ale mógł już dzieje nieszczęśliwej tej miłości rozpamiętywać ze względnym spokojem.

W chwilach rozważań takich mimowoli przed umysłem jego stawało porównanie podobnych do siebie kobiet. Jedna piękna, całe życie hołdująca wszystkiemu, co obce, chociaż przez brata swego pociągana na drogę obowiązku narodowego, była na tym gruncie jednak, niby roślina cieplarniana — nie swoja. Ona to, wielkie uczucie jego, które jej niósł w ofierze, potargała i sponiewierała i wtedy, kiedy z myślą o niej walczył, okrywał się chwałą, to znowu śmierci w oczy zaglądał, oddała się wstrętnemu Francuzowi i zapominając o ojczyźnie, za nim do obczyzny pobiegła. Druga z całego swego życia dla kraju zrobiwszy ofiarę, w poświęceniach nie znała granic, jak mężny żołnierz na wyłomie, gotowa zawsze dla świętej sprawy głowę swą położyć.

Pierwsza niewiernością swą zaledwo życia mu nie wydarła; druga, kiedy ono wąziutkim tylko strumieniem się sączyło, i wyschnięcia było blizkie, swą pieczołowitością, swojem czuwaniem i opieką nietylko mu je wróciła, ale i do tego stanu przyprowadziła, że może je teraz znowu na usługi kraju ofiarować.

Porównania podobne miały zawsze wychodzić na korzyść Ewuni, i cóż dziwnego, że Szumlański, tonąc w rozmyślaniach podobnych, o pierwszej zapominał coraz więcej, a do drugiej uczuwał pewien żal, że go teraz tak zaniedbuje i przywróciwszy mu siły ciała, o potrzebach jego biednego serca zdaje się zapominać całkowicie.

Jednego popołudnia, zatopiony w myślach podobnych, siedział sam pod rozkwitłą jabłonią, a dokoła niego uśmiechała się taka piękna i bogata natura, jaką nam, znękanym zimą, przynosi przecudna wiosna.

Balsamiczna woń kwiatów roztaczała się dokoła, roje muszek skrzydlatych z brzękiem goniły się w jaskrawych promieniach słońca, z sąsiedniej łąki odzywało się rzadkie i powolne skrzeczenie żab, strojących instrumenty swe do wieczornego koncertu, gdzieniegdzie z gałązki przelatywał rozmiłowany ptaszek, uganiając się za samiczką, a z krzaków niepewnym i jakby dopiero sił swych próbującym głosem odzywał się słowik, wprawiając się do wygrania przepięknego hymnu miłości.

Szumlańskiemu w tej uroczej ciszy polskiej wioski, zrobiło się miło, ale zarazem tęskno i ciężko na sercu. Dusza jego rwała się w jakieś światy nieznane, i samotność swą bardziej odczuwał teraz, niż kiedykolwiek dawniej.

Spojrzał błędnym wzrokiem przedsiebie, a krew mu zarumieniła lica, niedaleko bowiem w wązkiej uliczce ogrodu dojrzał ciemną i powłóczystą suknię Ewuni. Serce biło mu mocno, a mózg uporczywie dręczyło jedno pytanie: czy go dostrzeże? czy przyjdzie? czy po dawnemu zacznie z nim rozmawiać?...

A dzisiaj tak potrzebował słyszeć jej głos anielski; patrzeć w jej twarz dobrotliwą, widzieć blizko, tuż obok siebie, całą jej uroczą postać. Wlepił więc w nią cały swój wzrok, pełen prośby i niepokoju, tęsknoty i błagania.

Ewunia dojrzała go zdala, a widząc jego pałające oczy, pomyślała, że chory nic od niej nie potrzebuje, że wraz ze zdrowiem wróciło mu dawne uczucie, na którego wspomnienie ściskało się jej biedne serduszko.

Przystanęła chwilę, potem, jakby stanowcze powziąwszy postanowienie, nagle skierowała się w boczną uliczkę, wiodącą do dworu, zamienionego jak wiadomo, obecnie na szpital.

Tego już było Szumlańskiemu za wiele. Wstąpiła w niego jakaś rozpaczliwa energia. Nie mógł się oprzeć wewnętrznemu głosowi, który wołał ustawicznie: idź, idź! Wstawszy więc gwałtownie, postąpił kilkanaście kroków, tak, że znalazł się tuż za Ewunią.

— Panno Ewo — zawołał zdławionym od wzruszenia głosem — czy pani, skoro chorego śmierci wydrze, nie uważa już za potrzebne zajmować się nim więcej i pamięcią swoją uszczęśliwić go nie chce?

Ona na głos ten zatrzymała się i odwróciła drobną swą twarzyczkę do mówiącego.

— A czego pan pułkownik sobie życzy? — zapytała z pewnem drżeniem w głosie.

On podszedł do niej, ujął w swe dłonie obie drobne jej rączki i pod wpływem wewnętrznego jakiegoś podniecenia mówił:

— Więc trzeba być koniecznie pokłótym spisami jak przetak, postrzelanym jak tarcza celowa, schorowanym jak Łazarz, jedną nogą w grobie, aby na łaskę jej zasłużyć? Zdrowemu i dzięki jej staraniom do sił przywróconemu, czy nie wolno już do niej się zbliżyć?

— Owszem — odparła ona z uprzejmym uśmiechem, w którym pułkownikowi zdawało się, że całe niebo

dostrzega. Na usługi gości moich łaskawych jestem zawsze. Ponieważ jednak żadnych wiadomości świeżych z Krakowa nie mam, ponieważ chorzy prawdziwie potrzebować mogą mojej pomocy, więc... więc, choćby mi to może przyjemność nawet sprawiało, nie mogę dnia tracić na rozmowie z panem pułkownikiem.

— Przyjemność? — podchwycił prędko Szumlański. — Och, gdybym temu mógł wierzyć!

— A czyż są jakie wątpliwości pod tym względem?

A gdy on milczał, jakby ośmielona, mówiła dalej:

— Jeżeli pan pamięcią w przeszłość się cofnie i przypomni sobie chwile, w jakich się nasza znajomość zawarła, zapewne pan przyzna, że rada zawsze słucham jego rozmowy i jeżeli się ku temu zdarzyła sposobność, korzystam z niej skwapliwie. Jeśli zaś z biegiem czasu sposobność taka stawała się rzadkością, to...

— To? — zapytał natarczywie i mocno ścisnął jej ręce.

Ona spłonęła szkarłatem, jak mak polny, i zmieszała się tak, iż mimowoli obejrzała się po za siebie, jakby szukając drogi do ucieczki.

Ale pułkownik nie chciał już dłużej taić tego, co się w sercu jego działo. Dlatego podchwycił śpiesznie:

— To... wytłómaczyć łatwo. Pomiędzy nami, którzy byliśmy wyraźnie dla siebie stworzeni, stanęła kobieta wiarołomna, kobieta niegodna...

Ewunia teraz znowu pobladła, ale nie tracąc jeszcze przytomności, zawołała:

— Panie, nie godzi się o nikim tak mówić, a zwłaszcza o tej, która na nazwę podobną może nie zasługuje wcale, dla której niegdyś życia chciałeś się pozbawić...

— Nie broń jej pani. W porównaniu z tobą cóż ona warta? Pani jesteś święta, a ona?

— A jednak kochasz ją, a przynajmniej szczerze kochałeś?

— To nie była miłość — zawołał pułkownik nagle, z gwałtownością. — To był szał, to były złudzenia!

W piersi Ewuni serce biło, jak młotem, panowała jednak nad sobą i z udanym spokojem odrzekła:

— Wcale to nie wychodzi na korzyść pana pułkownika, jeżeli uczucia u niego są tak kruche i jeżeli zdolny jest tak surowo ganić to, co niedawno uwielbiał.

Szumlański z wewnętrznego wzruszenia drżał, przed duszą jego jasno w tej chwili stanął obraz tego, co uczynić powinien i postanowił bądź co bądź wszystko odrazu postawić na kartę.

— Pani nie szydź ze mnie — rzekł przytłumionym głosem — bo sama wiesz najlepiej, że uczucie owo, acz ze złudzeń zrodzone, wyrosło do nadzwyczajnej siły. Ale co było, nie jest, i może jest to źle dawnym umiłowaniom swoim nie być wiernym, lecz gdy mi zdarto bielmo z oczu, gdy ta ręka, z której nieba się spodziewałem, poszarpała uczucie moje, cóż dziwnego, żem przejrzał, otrzeźwiał, że na przeszłość patrzę, jak na sen ciężki i przykry. Tyś mi uratowała życie, tyś miłością dla kraju jak pancerzem zbrojna, zawsze mi obowiązki względem niego przypominała. Jeżeliś więc tyle dobrodziejstw zlała na moją mizerną osobę, bądźże szczodrą i łaskawą do ostatka. Nie odmawiaj mi tego, o co cię błaga powracający za twoją przyczyną z tamtego świata.

Prośba wyrażona została tak nagle, a przytem tak obcesowo, że Ewunia utraciła zwykłe panowanie nad sobą. Poczęła drżeć na całem ciele, nogi się pod nią zachwiały i drżącym, zaledwie dosłyszalnym głosem zapytała:

— Co?

Ale Szumlański na zapytanie to wcale już nie odpowiedział, tylko rzucił się do nóg jej, począł je całować i przerywanym głosem mówił:

— Och, pani, ja kocham, uwielbiam cię nad życie!... Miłość moja dzisiaj jest tak wielka, tak bezgraniczna, że wobec niej pierzchły wszystkie dawne wspomnienia. Kocham twoją anielską duszę, twoje serce szlachetne, twoją dobroć, twoje poświęcenie, ciebie słowem, taką jaką znam i przed którą, niby przed świętą klęczę i błagam: powiedz... powiedz to jedno słowo! Ewo...

Chciał dalej mówić, ale dziewczyna oczy dłonią zakrywszy, głośnym zaniosła się płaczem.

Szumlański przestraszony zerwał się i lękając się aby nie upadła, otoczył ramieniem wiotką jej kibić.

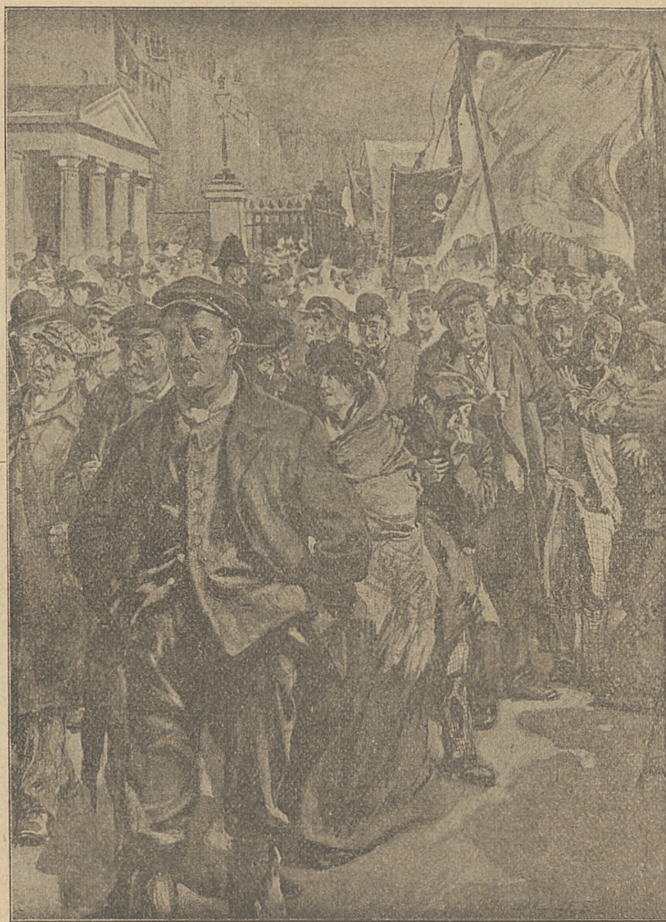
Ona nie broniła się wcale, ale pod wpływem wzruszenia wewnętrznego drżała, a usteczka jej pobladły jak opłatek. Pochylił się nad jej twarzą i mówił:

— Czyż mylę się? czy nieprawda, pani, że wtenczas, kiedy tego niegodzien byłem, kochałaś mnie?

— Prawda — odpowiedziała, przez łzy się uśmiechając.

— A teraz?

— Kocham... — odrzekła takim szeptem, jak szmer liści, po których muśnie wiosenny zefirek, ale szept ten



Demonstracya robotnicza w Londynie.

„Żądamy pracy, nie jałmużny!" Z takim napisem na czerwonych sztandarach przeciągały w ostatnim czasie tłumy robotników przez ulice Londynu. Robotnicy bowiem angielscy utrzymują, że udzielanie wsparcia tym, którzy nie chcą pracować, jest podwójną krzywdą: dla odbierających wsparcie — bo ich utwierdza w niechęci do pracy; dla dających — bo trwonią środki, któremi produkcyę popieraćby należało.

dla Szumlańskiego dosłyszalny był i zrozumiały, gdy znowu do nóg jej usunął się, ręce jej namiętnemi począł okrywać pocałunkami, a ona pochyliła się nad nim, jedną z uścisków jego wyrwała i położywszy ją na pochylonej jego głowie, załzawione, a pełne szczęścia oko podniosła w niebo, może dziękując Bogu, że ziścił pragnienia jej serduszka, a może chcąc przed rozpromienioną i rozpogodzoną naturą pochwalić się swą radością.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wśród Mazurów pruskich.

VIII.

Powiat jańsborski.

Graniczy na północ z ządzborskim i leckim, na zachód ze szczycieńskim, na wschód z leckim, a na południe z Królestwem i obejmuje 167,996 ha obszaru, z 49,550 mieszkańcami, w czem tylko 346 katolików. Powiat jańsborski jest najsłabiej zaludniony; przypada tu bowiem tylko 27.8 osób na 1 kw. km. Przyczyną tego są wielkie lasy z „Puszczą Jańsborską“ na czele, największym w Niemczech zwartym kompleksem lasów. Puszcza ta zajmuje całą południowo-zachodnią część powiatu, obejmując przestrzeń blizko 1000 kwadratowych kilometrów. Pagórkowata płaszczyzna puszczy nigdzie nie dochodzi do 18 m. ponad poziom jeziora Sniardwych. Gleba tu nieurodzajna; czysty piasek stanowi przeważną część ziemi. Po za puszczą napotyka się także ziemię żwirowatą, a tu i owdzie także trochę gliniastej i urodzajnej. Wzgórza obfitują w kamienie.

Niby w zrębach dziewiczego lasu, w środku puszczy Jańsborskiej, leży nowa osada przemysłowa Rudziany (Rudczanny), która zdobyła już sobie znaczenie jako miejsce kuracyjne. Na wielkiej polanie porozrzucane domy i wile, wśród których rozłożyły się setki tysięcy pociętych pni, desek, łat, listew — wokoło nieprzebyte, szumiące bory, sprawiają dziwne na podróżniku wrażenie. Niemcy postawili tu w lesie, przesyconym czystem powietrzem hotel dla kuracyuszów, który nigdy nie może pomieścić wszystkich gości, zwłaszcza w dni, kiedy statek tow. żeglugi po jeziorach mazurskich przybędzie do Rudzian. Poznali się Niemcy na ważności osady i udają się tu chętnie, Polaka nie spotkamy „na lekarstwo.“

IX.

Powiat łecki

graniczy od wschodu z poprzednim, a na wschód i południe dotyka Królestwa polskiego. Wschodnia część dzisiejszego łeckiego powiatu, to zachód siedzib Jadźwingów, spokrewnionego blisko z starymi Prusakami szczepu. I Łeckie obfituje w lasy i jeziora. Najważniejsze z nich to Laświady, odkąd struga Lek przyjmuje swoją nazwę, dalej jeziora Szóstak, Gablik, Selment, Skomątno i t. d.

Zachwycający widok przedstawia jezioro Łękuckie pod Orłowem, otoczone z jednej strony pagórkami, których wierzchołki jodłami, świerkami i brzozami zarosłe, z drugiej strony wznosi się piękny dwór łękucki, gaje zielone łąki i kościół orłowski z wysmukłą wieżycą.

Dalej okolica samego Ełku zawiera wiele nadzwyczaj romantycznych partyi, że tylko przypomnę wspomniane już jezioro tatarskie, niby nasze tatrzańskie Morskie Oko ukryte wśród pagórków lesistych.

Do ważniejszych rzek zaliczyć można Łęk i Legę, obie wypływające z powiatu oleckiego. Leg wstępuje do Łeckiego pod nazwą Haszna, przepływa jeziora Laśmiady i Halek, które opuszczając przyjmuje nazwę Łku, której odtąd już nie porzuca.

Doliwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ten świat — to jest maskowy bal.

Ten świat: to jest maskowy bal!...
Gdzie tylko rzucisz okiem,
Za każdym niemal w życiu krokiem,
Czy spojrzysz blisko, czy też w dal,
Spotykasz larwy, larwy, larwy,
Jak kameleon zmiennej barwy:
Ten świat: to jest maskowy bal!

Na każdej głowie maskę masz...
Oblicze nie jest tem zwierciadłem,
Na które patrząc, mówisz: „zgadłem,“
Lecz larwa tylko kryje twarz,
Co się dowoli zmieniać umie
I obojętną bywa w tłumie
Oblicze-maska, którą masz.

A za tą maską! prawdy próg...
Tam serce, co się bólem wzrusza!
Tam wielka i płomienna dusza!
Tam wstęp do jasnych, złotych dróg!
I kiedyś... już nie na tej ziemi
Z oblicza ludzi dłońmi swemi
Doczesną maskę zdejmie Bóg!

Kazet.

Popielec.

Po wesołych dniach zapustnych następuje środa popielcowa, od której zaczyna się post 40-dniowy, oddawna uroczyście w Polsce obchodzony. O północy z wtorku na środę, według zwyczaju, przyjętego przez naszych praojców, milkną pieśni weselne, a ich miejsce zajmują „gorzkie żale“ i medytacye nad męczeńskim zgonem Zbawiciela świata. Tę chwilę przełomową na zegarze dziejowym nasz lirnik wioskowy, Syrokomla, tak maluje w poemacie swoim „Dni doroczne“:

Lecz kapela takt urywa,
I w pół taktu taniec stawa:
Bije północ... swoje prawa
Święty Kościół odzyskiwa.
„Do pokuty! do pokuty!“
Dzwon zajęczał z pośród wieży,
Ścichnął gwarny tłum młodzieży,
Stanął w miejscu, jak przykuty.

Chwilę tę przed wiekami, bo za czasów Zygmunta III, w tych słowach określił Kasper Miaskowski (1549 do 1622), twórca wielu poezyi religijnych:

Zeszła noc, a miedź święta) woła do popiołu:*
Od mięsa, od muzyki i hojnego stołu!
Jedni idą zwiesiwszy do kościołów głowy,
Którym w komży ksiądz sypie popiół z temi słowy:
Pamiętaj to, żeś z prochu powstał i zas w ziemię
*Rozsypiesz się, i wrzucą-ć do kośnice ciemię.**)*
I tak idą skruszeni do domów w południe
Po mszach i litaniach a znać nieobłudnie.

We środę popielcową, czyli wstępną, jako w pierwszy dzień postu i pokuty, Kościół katolicki poświęca popiół i posypuje nim głowy wiernych dla przypomnienia im, ażeby rozmyślali o śmierci, na którą przez grzechy swoje zasłużyli. Zwyczaj ten przez ojców naszych od wieków z nabożeństwem był przestrzegany. Nawet za czasów saskich w Polsce, gdy zepsucie wkradło się do wielu ognisk domowych i osłabiło uczucia religijne w pewnych sferach narodu, o popielcu zawsze pamiętano. Ks. Andrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów i zwyczajów za Augusta III“ tak się o uroczystości tej wyraża:

„Na popielec zjeżdżali się i schodzili do kościołów wszyscy, a nawet

*) Dzwony kościelne.
**) Do kostnicy — czaszkę, głowę.

najwięksi panowie nigdy go nie opuszczali. Dla tych, którzy nie mogli przyjąć tego obrządku we Wstępną środę, mianowicie po wsiach, powtarzano go drugi raz po kościołach w pierwszą niedzielę postu. Taka zaś była jeszcze pobożność Polaków w latach początkowych panowania Augusta III,

rażając tym sposobem niewinne ofiary pustoty na śmiechy. Zwyczaj przyczepiania klocków wśród pospólstwa do dziś się przechował po miastach i miasteczkach w Kongresówce.

W pierwszych dziesiątkach lat ubiegłego stulecia miała Warszawa swoją osobliwość popielcową, która dziś

kult religijny, który czcimy z równą, co i dziadowie nasi, pobożnością.

H. S.

W Macedonii.

Rząd turecki ogłosił dokumenty, podając nowe szczegóły o okrucień-



„Z prochuś powstał, w proch się obrócisz".

że nawet chorzy, nie mogący przyjąć popielcu w kościele, prosili o niego, aby im był dany w łóżku. Lecz pod koniec panowania powyższego króla, gdy wiara stygnąć zaczęła, popielec ledwie miał ciżbę do siebie w kościele i to najwięcej od pospólstwa, po domach zaś go rozdawać zaniechano."

Tenże kronikarz opowiada, iż swawolna młodzież z kultu religijnego zrobiła sobie zabawkę, którą dość szeroko uprawiano po małych szlacheckich dworkach i w miastach między pospólstwem. Zabawka polegała na tem, iż młodzież trzepała się po głowach workami popiołem napełnionymi, albo też podstępnie wysypywała popiół na głowę. Byli znowu dowcipnisie, którzy przed przechodniem rzucali garnki napełnione popiołem, wołając: „Popielec, mości panie! lub: mościa pani!"

Istniał też oddawna w Polsce zwyczaj przyczepiania pannom i kawalerom we środę popielcową t. zw. klocków dla wyszydzenia ich, że w ubiegłe zapusty nie stanęli na ślubnym kobiercu. Swawolnicy czatowali zwykle na wchodzącą do kościoła młodzież płci obojej i znienacka ubierali ją w kurze lub indycze łapy, kawałki drzewa, kości albo skorupy jaj, które bardzo zręcznie przyczepiali na wierzchnie ubranie, na-

już znikła z jej widowni i pozostała tylko wspomnieniem, zapisanem na karcie zwyczajów i obyczajów syreniego grodu. Osobliwością tą była wesoła uczta, wyprawiana przez rzeźników warszawskich w Wilanowie, gdzie na stołach biesiadnych zamiast śledzi i kartofli w mundurach stały misy z różnem mięsiwem, pozostałem po zapustnych ostatkach. Po uroczystości kościelnej cała Warszawa na zakończenie uciech karnawałowych saniami lub na kołach podążała do dawnej siedziby zwycięzcy z pod Wiednia, ażeby użyć świeżego powietrza i zblizka przyjrzeć się uczcie popielcowej, corocznie przez cech rzeźników wyprawianej. Naoczny świadek tych wycieczek wilanowskich K. Wł. Wójcicki zaznacza, iż w r. 1821 z podziwem spoglądała Warszawa na ogromne sanie w ośm białych, dzielnych koni zaprzężone, w których siedziały słynne piękności arystokratyczne w towarzystwie najpierwszych z eleganckiej młodzieży, posiadającej jej względy. Do pięciuset sanek pognało za nimi, i Wilanow niespodzianie ujrzał naraz kilka tysięcy gości.

Wszystkie dawne zwyczaje, związane z dniem popielcowym przeszły do historyi; dziś pozostał nam tylko

stwach, jakich dopuszczają się bułgarskie drużyny w Macedonii.

Liczni mahometanie — opowiada owa relacya — opuścili wieś Girbasz (w wilajecie Saloniki) i udali się do Belesz-Balkan, jak corocznie, dla wyrębu drzewa. Podzielili się oni na grupy, złożone z 5—6 osób. Jedna z takich grup przybywszy na wzgórze Kirkim-Czeszme, ujrzała się nagle otoczoną przez 15 bułgarskich komitadżiów, którzy oddali osaczonych mahometan w ręce ukrytej innej drużyny bułgarskiej, ze wsi Mokrino i Makriwa.

Inna grupa, która również miała to nieszczęście, iż natknęła się na powstańców, uciekła z przerażeniem i przybyła do Girbasz, gdzie zawiadomiła władze o pojawieniu się bułgarskich drużyn.

W nocy tego samego dnia wyruszył oddział wojska pod komendą porucznika Osmana effendi na odsiecz pojmanym drwalom. Znaleziono w lesie siekiery i ślady prowadzące do wąskiego przesmyku. Nad ranem, idąc za temi śladami, oddział dotarł do małej polanki, gdzie ujrzał obraz przerażający. Ziemia pokryta była trupami. Jeden z drwali, acz ciężko ranny, miał tyle jeszcze siły, że podniósł rękę i prosił zamierającym głosem o trochę wo-

dy. Podano mu napój, a porucznik Osman starał się zasięgnąć od rannego wyjaśnień, co do powodu rzezi. Umierający zdołał zrazu podać tylko swe nazwisko, Mustafa Yaszar i dopiero po chwili, nabrawszy sił nieco, opowiadał: „Chcieliśmy udać się do Belesz-Balkan, by tam rąbać drzewo. Nagle otoczyła nas garstka Bułgarów i wydała swym rodakom ze wsi Mokriny i Makriny. Związanych strunami baraniemi, zawieziono nas do Kirkim-Sou. Tam zostaliśmy ustawieni w szeregu, poczem Bułgarzy strzelali do nas i kłuli bagnetami.‘‘ Dalszych szczegółów nie miżna już było dosłyszeć, gdyż Mustafa Yaszar począł konać i wkrótce wyzionął ducha.

Wymordowani liczyli od 12 do 30 lat. Na każdym trupie znaleziono rany pochodzące ze strzałów, a prócz tego mnóstwo pchnięć i cięć. Ze zgładzonych prawdopodobnie nikt nie stawiał oporu.

Przywódzcą drużyny, która pojmała mahometan był zbieg Stojan ze wsi Koklesz pod Mokriną. Czterej członkowie drużyny wpadli w ręce wysłanego oddziału wojska. Jeden zginął, drugiego ciężko raniono, trzeci został ujęty bez szwanku, czwartemu udało się uciec. Władze sprawdziły, że w przedstawionem okrutnem zajściu brało udznał 37 osób. u.



Wyprawa drużyny Bułgarów macedońskich.

Dyabeł morski.

Dwudziestego ósmego września zeszłego roku, w północnej stronie oceanu Atlantyckiego, duński szoner Anna, płynący z Islandyi do Nowego Brunświku, został napadnięty i zatopiony przez wieloryba, który wybił w statku dziurę poniżej linii wodnej. Rozwścieklony potwór, tak silnie uderzył głową o statek, że sam zabił się na miejscu. Wypadek ten przywodzi na myśl rozmaite starcia pomiędzy ludźmi a morskiemi potworami, w których liczbie według zapewnień marynarzy, łowców fok i wielorybów — brały udział, oprócz wielorybów, haje, miecznikі i olbrzymie płaszczki. Ale, gdy w jednych wypadkach napaść skierowana była przeciwko statkom, które obudziły wściekłość potworów, zdarzało się, że w innych razach, ta wściekłość zwracała się przeciwko ludziom. Do rzędu takich spotkań, należy zaliczyć starcia ludzi z dyabłem morskim, olbrzymią płaszczką. Łatwo zrozumieć, że ten olbrzym, mający długości 5—6 metrów i takąż szerokość, gdy rozwinie skrzydła potężne, musi być postrachem wszelkich istot, przebywających nad morzem, na morzu i w morzu, i że spotkania ludzi z podobnem straszydłem, dają pole do romantycznych dodatków i przyozdobień. Ubicie takiej poczwary uważane było zawsze za czyn bohaterski, którego spełnienie wymaga zimnej krwi, i męstwa, gardzącego śmiercią. Ze względu na postać i sposób życia tej olbrzymiej, rogatej czyli skrzydlatej płaszczki, ludzie nazwali ją budzącem grozą mianem: „morskiego dyabła,‘‘ dyabelskiej płaszczki‘‘ i „morskiego upiora,‘‘ (po łacinie: diabolus, diabolichtys, vampyrus). W rzeczywistości jednak, spotkania z tem stworzeniem, przedstawiają się w odmiennem świetle, chociaż w walce z niem — jak z każdem większem zwierzęciem — o zwycięstwie rozstrzyga przytomność umysłu, zimna krew i odwaga.

Kto przez dziesiątki lat obserwował w akwaryum płaszczki różnych gatunków i wzrostu, umieszczone w obszernych basenach, zna je jako stworzenia zajmujące i miłe, łagodne i przyjacielskie, nie mające w sobie nic zbójeckiego, krwiożerczego, ani napastniczego. Widziane nawet na morskich wybrzeżach, czynią toż samo wrażenie, z wyjątkiem jednej odmiany, posiadającej groźną broń, w długim ogonie, podobnym do bicza z zakończonym ostro kolcem. Jako ryby, przemieszkujące na płytkich wodach, płaszczki trzymają się zwykle w pobliżu brzegów, i leżą w pogodne dni, całemi godzinami nieruchomo na dnie, w mule i piasku, nie troszcząc się o inne stworzenia i wybierają sobie mięczaki i skorupiaki, stanowiące ich pożywienie. Używają do tego spodniej, wrażliwej powierzchni swego ciała i przykrywszy sobą upatrzoną ofiarę, kilku szybkiemi poruszeniami, podsuwają ją do paszczy, umieszczonej w spodniej części ciała. Najedzone, wypływają w górę, aż na samą powierzchnią wody, gdzie igrają, pływając zręcznie i zwinnie i unosząc się falistemi poruszeniami skrzeli, w poziomym lub pionowym kierunku.

Toż samo, co się widzi u małych i średnich gatunków płaszczek, o smoczej postaci, istnieje także i u płaszczki olbrzymiej, okrzyczanej za dyabła morskiego. Nie można jednak i w nim dopatrzeć się żadnych krwiożerczych zapędów i zajadłości, cechujących jego najbliższą krewniaczkę — „srogą haję, hyenę morskich przestworów.‘‘ Z drugiej strony, nie może być mowy o żadnem prawidłowem polowaniu na płaszczki, takiem, jak na wieloryba, bo nigdy one nie wypływają na pełne morze jak haje, i uwijają się zawsze po płytkich wodach, a rzadko kiedy można je ujrzeć na powierzchni wód albo nad wodą. Udało się raz Amerykaninowi, Ellietowi, po wielu trudach i długiej wal-

ce, ugodzić harpunem taką olbrzymią płaszczkę. W zatoce Meksykańskiej, gdzie często pojawiają się te potwory — skrzydlate płaszczki (leratoptera vampyrus) — nie pływają one pod wodą, lecz unoszą się nad jej powierzchnią, wywracając koziołki w powietrzu, na dziesięć lub dwanaście stóp wysoko. Przypadek i szczęście grają główną rolę w polowaniu na nie, dopóki albo harpun, albo postrzał nie trafi do celu. Zdarzało się, że takie upolowane straszydło ważyło przeszło 1000 kilogramów. *—ski.*



Dyabeł morski.

Na cmentarzu żywych.

6) (Ciąg dalszy.)

Przezwyciężając zabobonną jakąś trwogę, pomieszaną z serdecznem współczuciem i jednocześnie z obrzydzeniem, przybliżyłem się do trupa, pragnąc zbadać go szczegółowo... Braminowi rozkazałem odejść i trzymać się tymczasem na uboczu, ażeby mi w tej czynności nie przeszkadzał. Ciało nieszczęśliwego odziane było w kostyum myśliwski, barwy zielono-oliwkowej, zużyty i poplamiony. O ile mogłem rozpoznać — miałem przed sobą zwłoki człowieka w wieku dojrzałym, między 30 a 40-tym rokiem życia, wzrostu więcej niż średniego, z włosami na głowie jasno rudemi, z brodą cokolwiek ciemniejszą, twardą i wielce niedbale utrzymaną. Brakowało mu kawałka prawego ucha — i jednego zęba w górnej szczęce.

Na wskazującym palcu lewej ręki znajdował się stalowy pierścionek, rodzaj sygnetu, z okrągłą pozłacaną pieczątką, na której były wyryte litery: B. K. Na trzecim palcu prawej ręki błyszczał pierścionek srebrny, bardzo zużyty i stary.

Gungo złożył mi u nóg garść drobiazgów, jakie wyciągnął z nory. Zakryłem chustką twarz trupa, i nachyliłem się, ażeby je przejrzeć.

W pierwszej chwili całą moją uwagę zwrócił na siebie notatnik; schowałem go do kieszeni, z zamiarem przejrzenia później zawartych w nim kartek. Resztę rzeczy dla większego bezpieczeństwa przeniosłem do mojej nory.

Powróciwszy następnie do trupa, rozkazałem braminowi dopomódz mi w przeniesieniu go na brzeg rzeki. Podczas tej czynności, z łachmanów, jakie Gungo miał na sobie, wypadł zużyty ładunek od naboju, i potoczył mi się pod nogi. Gungo nie zauważył tego wcale, mnie jednak przyszło na myśl, że nikt nie przechowuje tekturowych ładunków po wystrzelonych nabojach, dla tej prostej przyczyny, że każdy taki ładunek raz tylko jeden może być użyty. Niewątpliwie więc był to ładunek, wystrzelony wewnątrz krateru. Sądząc z tego, musiała tu gdzieś i strzelba być ukryta...

W pierwszej chwili miałem zamiar zapytać o to wprost bramina, opamiętałem się jednak i postanowiłem nic mu o mojem spostrzeżeniu nie wspominać i nie pytać go o nic, bo, zapytany, napewno skłamałby przedemną.

Przyciągnęliśmy ciało aż do ostatnich kęp trawy — w miejscu, gdzie zaczynały się piaski ruchome. W nich to postanowiłem pogrzebać nieboszczyka. Nie potrzebując już pomocy Gunga, kazałem mu się oddalić, sam zaś tymczasem złożyłem trupa ostrożnie na piasku. Gdy tak leżał zwrócony twarzą ku ziemi, rozdarłem mu na plecach zużytą i zbutwiałą bluzę myśliwską. Rozerwane strzępy ubrania odsłoniły na grzbiecie nieszczęśliwego okropną, głęboko rozwartą ranę, pochodzącą od wystrzału. Ubranie myśliwskie zostało widocznie naciągnięte na nieszczęśliwego już po śmierci.

Myśl szybka jak błyskawica błysnęła nagle w mej głowie, rozwidniając ponurą tajemnicę w całej jej nagości i grozie. Ktoś z mieszkańców krateru, prawdopodobnie Gungo, musiał zastrzelić nieszczęśliwego. Zginął on nie z własnej nieostrożności. Nie usiłował pod wpływem rozpaczy przedrzeć się przez kule wartowniczego statku; padł ofiarą ohydnej zbrodni!...

Popchnąłem trupa lekko na ruchomy piasek i zadrżałem mimowoli, widząc, jak pogrąża się cicho i niknie mi z oczu.

Z głową ociężałą, niejasno zdając sobie sprawę z tego, co robię, zacząłem przerzucać kartki w notatniku zmarłego. Skrawek zżółkłego i poplamionego papieru wciśnięty pod oprawę na grzbiecie książeczki — wysunął się z niej, gdy ją otworzyłem. Podjąłem go i zacząłem oglądać machinalnie. Znajdowały się na nim dziwne i zupełnie dla mnie niezrozumiałe notatki, nakreślone ołówkiem.

Usiłując odnaleźć w nich jakąkolwiek myśl przewodnią, ze zdumieniem czytałem co następuje:

„Cztery naprzód, licząc od kępy wron; trzy na lewo; dziewięć naprzód; dwa na prawo; trzy w tył; trzy na prawo; czternaście naprzód; sześć na lewo; cztery w tył; trzy na lewo; dwa w tył; pięć na lewo; siedmnaście naprzód; jeden na lewo, dwa naprzód.“

Co oznaczały te słowa niepodobna było pojąć. Usiadłem na suchym perzu, obracając zagadkowy świstek w palcach i oglądając go na wszystkie strony, gdy nagle instyktownie odczułem, że Gungo znajduje się tuż za mną. Obejrzałem się — i ujrzałem go pochylonego nademną, z zaiskrzonemi oczami i z rękami wyciągniętemi chciwie...

— Znalazłeś to nareszcie... — mówił dysząc — pozwól i mnie zobaczyć także... Przysięgam, że ci oddam!...

— Co znalazłem?... Co mi masz oddać? — zapytałem.

—To, co trzymasz w ręku... To nas obu ocali!... On tak ukrywał to starannie! Dlatego też go zabiłem...

Gungo zapomniał się widocznie, bo teraz wyznawał nagą prawdę ze spokojem najzupełniejszym... Snać poczucie moralności słabnie pod wpływem zetknięcia się z żywymi nieboszczykami...

— Co ty pleciesz?!... czego chcesz odemnie?

— Kawałeczka papieru, który trzy-

masz... On nas obu ocali... Z jego pomocą możemy stąd się wydostać!

Ex-bramin w uniesieniu szalonej radości tańczył i wyskakiwał przedemną. Wiadomość o istnieniu jakiegoś tajemniczego sposobu wydobycia się z tego ohydnego grobu żyjących i na mnie niemałe zrobiła wrażenie...

— Nie skacz jak opętany, a wytłomacz mi lepiej, co to wszystko ma znaczyć?... Mówisz, że ten skrawek papieru nam pomoże!...

— Czytaj! głośno, sahib! Błagam cię, i zaklinam na wszystko, co masz najdroższego, ażebyś to głośno przeczytał!...

Zacząłem czytać, spełniając jego natarczywe błagania. Gungo słuchał bacznie, pochłaniając każde słowo i kreśląc na piasku jakąś tajemniczą linię łamaną...

— O!... widzisz... taka była długość lufy jego strzelby, nie licząc kolby... Ja mam tę lufę... Cztery takie lufy naprzód, zaczynając od miejsca, gdzie łowiłem wrony, prościuteńko, jakby strzelił przed siebie. Pójdziesz ze mną? prawda? A dalej... trzy znowu lufy na lewo. Ach, jak ja dokładnie przypominam sobie tego człowieka, gdy pracował nad tem odkryciem noc po nocy! Potem... znowu dziewięć luf i tak dalej... Naprzód, to znaczy wprost przed siebie, przez ruchome piaski. Sam mi to powiedział, zanim go zabiłem!...

— Jeżeliś jednak wiedział to wszystko, to dlaczego już oddawna nie wydobyłeś się z tego miejsca przeklętego?!...

— Właśnie że nie wiedziałem. Mówił mi, że pracował nad tem odkryciem przez półtora roku, noc po nocy, gdy tylko statek się oddalił. Obiecywał mi, że uciekniemy razem. Bałem się jednak, ażeby kiedykolwiek w nocy po ukończeniu swej mozolnej pracy i odkryciu całej drogi, nie wymknął się sam cichaczem, pozostawiając mnie tutaj na pastwę powolnego konania. Strasznie się tego bałem... więc go zabiłem... A zresztą... nie trzeba, ażeby ktokolwiek z tych, co się tu raz dostali, zdołał się ztąd wydobyć... Ja jeden tylko... ależ bo ja nie jestem zwykłym człowiekiem.

(Dokończenie nastąpi.)

Do polskiej niewiasty.

O polska niewiasto, ty stróżu rodziny,
Co dziecko polskiego nauczasz pacierza;
Ucz także cierpienia w te czarne godziny,
Gdy w polską tę ziemię grom Boży uderza.

Ucz dziecię, by mężnie nieszczęścia znosiło,
Z pokorą, poddaniem się Boskiej tej woli,
Na złość niech odpowie miłości swej siłą,
Niech cierpi, choć serce go nieraz zaboli.

Ucz dziecię swe wiary w los przyszły Ojczyzny,
Niech nigdy nie traci promiennej ufności:
Że kiedyś zagoją się rany i blizny,
I jasne nam słońce zabłyśnie wolności.

A. Kr.

Nasza ofiarność.

Złożyli do dnia 19-go b. m. włącznie:

Na urnę srebrną dla hetmana Żółkiewskiego: pani A Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 1 mr, Razem złożono dotych czas 1 mr.

Na rodzinę w Poznaniu, obarczoną liczną dziatwą i znajdującą się w krytycznem położeniu: ani A. J. z H. 5 mr. Dotychczas złożono na ten cel :1 mr. z tej sumy wypłaciliśmy komu należało 16 mrk; pozostało 5 mrk

Na Macierz Szkolną w Królestwie p. Franciszek Rafiński z Monkowarska zebrał na weselu swej siostry Apolonii z p. Józefem Płaczkiem w Sadkach pod Nakłem 5 mr. 53 fen. p. J. Mrówczyński z Rawicza 3,25 mk. Dotychczas złożono razem 286 mrk 68 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców dotychczas złożono 2 mr.

b) dla dziewcząt dotychczas złożona 10 mrk.

Na Czytelnie Ludowe złożono dotychczas 3 mrk.

Na „Straż“ dotychczas złożono 4 mr.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu złożono 2 mrk.

Na elementarze dla biednych dzieci p. Franciszek Rafiński z Monkowarska zebrał na weselu swej siostry Apolonii z p. Józefem Płaczkiem w Sadkach pod Nakłem 5 mrk. Złożono dotychczas 18 mrk. 50 fen.

Na rodzinę Jana Wyciska p. A. J. z H. 2 mrk. Dotychczas wpłynęło 97 mrk 40 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go grudnia dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk 22 fen. 75.

Na Weteranów

z roku 1848-go p. A J. z H, 2 mrk. Razem wpłynęło dotychczas 2 mrk.

„ 1863-go wpłynęło dotychczas 73 mrk 77 fen.

Z tej sumy wysłaliśmy komu należy 48 mrk 20 fen; pozostaje mrk 18,95 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach wpłynęło dotychczas razem 12 mrk.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie wpłynęło dotychczas 2 mrk.

Na głodnych w Królestwie pp.: Szymkiewicz z Manheimu 5 mrk; A. J. z H. 3 mrk 5 fen;

Razem wpłynęło dotychczas 262 mrk 28 fen.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów: z Herne pp: F. Szwagrowski 50 fen; J. Starosta 50 fen. I. Pośledniak 1 mrk. Wpłynęło dotychczas 10 mrk 70 fen.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Treść nr. 5-go „Tęczy“, *miesięcznika poświęconego sztuce fotograficznej*: Różne objawy dymku na płytach i powody jego powstania. — Z teki kawalerskiej. — Jak osięgnąć wzorowe negatywy. (Ciąg dalszy). — Rozmaitości: Sporządzenie szyby matowej ze zwykłej płyty fotograficznej. — Panchromatyczne magnezyowe światło czasowe. — Fotogramy Röntgenowskie. — Bioskop. — Jak osięgnąć miękkie bromosrebrne odbitki z twardych negatywów. — Dodatek: „Poradnik“ Drogeryi „Universum“: Jak pielęgnować płeć? Srodki na piegi. O oliwach do machin Sposób do osiągnięcia sztywnej i połyskującej bielizny. — Przepis do prania „Quillayą“. — Malowanie, lakierowanie i zaprawianie podłóg i posadzek. — Ogłoszenia. — Dwa dodatki ilustrow.

Treść nr 7-go „Przemysłowca“: Wybory do Izby rzemieślniczej poznańskiej. — Ogłoszenia Izby Rzemieślniczej Poznańskiej i Bydgoskiej. — Ruch w Towarzystwach. — W interesie sztuki polskiej — Czy oferty submisyjne muszą być zachowane w tajemnicy przez pomocników? — Zajmujący przyczynek do historyi przemysłu w Wielkopolsce. — O ogrodnictwie. — Handel, przemysł i gospodarstwo: Sprawozdanie z handlu nasion Telesfora Otmianowskiego w Poznaniu. — Kronika. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Od Redakcyi.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Ignacy Wincenty Gronkowski*, dawniejszy proboszcz w Piłce leżącej na kresach W. Ks. Poznańskiego ku Brandenburgii, umarł dnia 13-go b. m. w Poznaniu. Nieboszczyk był gorliwym kapłanem, szczerym patryotą poskim oraz zwolennikiem i czytelnikiem Pracy“, którą nawet zasilał korespondencyami; między innemi opisał powstanie kościoła parafialnego w Piłce (patrz artykuł z illustracyami p. t. „Z ojczystych stron. Z okolic Wielenia“ w roczniku „Pracy„ z 1904-go z“ Niech odpoczywa w Bogu!

† Ś. p. *Stanisław Ochocki*, dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 31-ym roku życia.

† Ś. p. *Nikodem Walczakiewicz w Poznaniu*, dnia 12-go b. m.

Ś. p. *Agnieszka Nowacka z Pyszczorskich*, dnia 15-go b. m. w Poznaniu, na św. Łazarzu w 54-ym roku życia.

Ś. p. *Stefan Pawlicki*, mistrz stolarski, dnia 16 go b. m. w Poznaniu.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Walne zebranie Centr. Tow. Gospodarczego

w W. Ks. Poznańskiem

rozpoczęło się dnia 13-go b. m. i trwało 3 dni. Po mszy św. w kościele św. Marcina zgromadzenie, liczące 80 ziemian, zebrało się na starej sali Bazaru. Zagaił obrady prezes Towarzystwa, p. Dr. Tadeusz Jackowski z Wronczyna. W swej mowie wyliczył sprawy, jakie mają być przedmiotem obrad, następnie oddał hołd zmarłym w roku ubiegłym 13 członkom Towarzystwa, wzywając obecnych do uczczenia pamięci ich przez powstanie z miejsc. Mówca prosi obecnych o wybór marszałka i sekretarzy. Wybrano p. Kazimierza Chłapowskiego z Kopaszewa — marszałkiem, sekretarzami: pp. dr. Osowickiego i dr. Jana hr. Szółdrskiego.

P. D. Lossow z Grabonoga odczytuje sprawozdanie z czynności Centralnego Towarzystwa, dając w niem treściwy pogląd na ogólne położenie gospodarcze w roku zeszłym.

Pan Józef Chłapowski z Rzegocina, patron Kółek rolniczych, zdaje sprawozdanie z ich działalności i rozwoju:

Kółek w r. 1905 przybyło 14, ogólna ich liczba wynosi 287 z 13,025 członkami. Referent podnosi z uznaniem sposób prowadzenia dyskusyi w Kółkach — inteligencya włościan-członków, przejawiająca się w nich, budziła podziw w przyjezdnych z Galicyi. Podniosło się używanie nawozów sztucznych. Drenowanie roli natomiast nie idzie naprzód, żadna spółka się w tym celu nie utworzyła. Siewniki wchodzą coraz więcej w życie — posiada je niemal co trzeci członek Towarzystwa. Postępuje naprzód i mleczarstwo, pszczelnictwo, natomiast sadownictwo nie wszędzie. Do 90 proc. gospodarzy zabezpieczonych jest przeciwko ogniowi. Natomiast drenarka nie cieszy się wielkiem uznaniem, nawodnanie łąk nie robi postępów, sadownictwo trzyma się tylko okolicami. W końcu podniósł p. patron wielkie znaczenie banków ludowych, tamujących wpływy żydowskie wśród włościan i rozwodził się o błogiej działalności sądów polubowych.

We wtorek po południu rozpoczęły się obrady wydziału ogólnego, którym przewodniczył pan Teodor Moszczeński. P. Chrzanowski z Gozdawy rozwodził się o robotach akordowych i podniósł na wstępie, że w obecnych warunkach najściślejszy obrachunek koniecznym jest do utrzymania ziemi. Należy polepszyć dolę robotników, aby nie uciekali do miast i na obczyznę. Zapobiedz ma temu praca akordowa.

Po dłuższej dyskusyi zgodzono się na zapatrywania prelegenta z wyjątkiem robót maszynowych na akord. Odczyt ogłoszonym będzie w najbliższym numerze „Ziemianina“.

P. hr. A. Żółtowski z Jarogniewic wygłosił odczyt na temat: „Płodozmiany dawniej a dzisiaj“. Mówca podniósł wielkie znaczenie płodozmianów, poruszył wszystkie okoliczności, jakie wpłynęły na zmianę dawniejszych pod tym względem zapatrywań i jako typ płodozmianów odpowiadający warunkom obecnym podał następujące płodozmiany: pierwszy: okopowizna, jeczmień, żyto i drugi 6 pól okopowizny, 6 pól jarzyny, 6 pól oziminy.

W dyskusyi prawie wszyscy mówcy godzili się na uproszczenie płodozmianu, poczem prezes Tow. p. dr. Jackowski zagaił pogadankę na temat: „Czego nauczyliśmy się w roku ubiegłym?“ Mówca dawał wskazówki co do osuszania łąk, praktycznego przechowywania kartofli, obdziabywania zboża, używania sztucznych nawozów i spasania surowych kartofli końmi. Po dłuższej dyskusyi nad poruszonemi przez p. dr. Jackowskiego sprawami zamknięto posiedzenie o 7 wieczorem.

W środę o 10 rano rozpoczęły się obrady wydziału rolnego pod przewodnictwem p. Stanisława Morawskiego z Jurkowa. P. Grabowski ze Zbietki mówił „O kulturze i pielęgnowaniu łąk“. Myślą przewodnią jego wykładu było wyprodukowanie paszy dla bydła za pomocą podniesienia wydajności łąk przez melioracye. Na wywody mówcy zgodzili się w dyskusyi prawie wszyscy obecni, zaznaczając jednak, że do melioracyi należy zabierać się z wielką ostrożnością ze względu na wielkie nakłady.

Następnie miał wykład w wydziale rolnym p. dr. Jackowski „O nowych narzędziach i maszynach.“ Wykład oparty wprawdzie na własnych doświadczeniach, przyjęto bardzo życzliwie i dysputowano nad nim z ożywieniem.

W środę po południu wygłosił p. Dobrogost Lossow z Grabonoga wykład „O doświadczeniach, poczynionych w Pentkowie z rozmaitemi gatunkami zbóż.“ Mówca przytaczał dodatne i ujemne strony doświadczeń. Nadmieniamy, iż Pentkowo jest folwarkiem, zakupionym przez poznańską Izbę rolniczą w celach robienia doświadczeń gospodarczych.

W dalszym ciągu rozpoczęło się posiedzenie wydziału chowu inwentarza. Pierwszy przemawiał p. dr. Brodnicki z Wielkiej Kołudy „O korzyściach wynikających z suszenia okopowych liści buraczanych,“ drugi weterynarz p. Nowacki „O surowicach używanych przeciwko chorobom zakaźnym u zwierząt w świetle najnowszych badań,“ a trzeci mówca p. hr. Adam Żółtowsi z Jarogniewic rozwiódł się obszernie „O sposobach i zyskowności tuczenia bydła.“ Wywody wszystkich prelegentów znalazły w ożywionej dyskusyi powszechne uznanie.

Na czwartkowej sesyi plenarnej mówił p. Janta-Połczyński z Wysoki „O wychowaniu przyszłych rolników.“ Pan prelegent zaproponował w końcu znakomitego wykładu utworzenie rodzaju komisyi edukacyjnej, któraby rady i wskazówki rodzicom i młodym ludziom w sprawie tej udzielić mogła.

Następnie mówił pan mecenas Trąpczyński „O koncesyach budowlanych wobec nowego prawa osadniczego.“

Pan dr. Skarzyński ze Spławia zrzekł się wobec spóźnionej pory wygłoszenia swego wykładu, zaznaczając tylko, że położenie staje się coraz trudniejszem i wszelkich sił dołożyć należy, aby przetrzymać obecne ciężkie czasy.

Wybór członków zarządu w miejsce ustępujących następuje przez aklamacyę; wybrano ponownie pp. Ponińskiego, dr. Skarżyńskiego i hr. A. Żółtowskiego. Po dokonanych wyborach marszałek zamyka walne zebranie.

Tegoroczny udział w walnem zebraniu był tak liczny, jak nie pamiętamy od lat wielu; sala była formalnie nabitą. Obrady toczyły się z powagą i zainteresowaniem, a wielki zastęp pań przysłuchiwał się z galeryi wykładom z niestrudzoną pilnością przez czas cały obrad.

Z Prus Zachodnich przybyło na nasze zebranie grono obywateli; pomiędzy nimi p. Edward Donimirski, pp. Slascy, p. Osowski z Najmowa, a jak wyżej powiedzieliśmy, gość także, pan Janta-Połczyński wygłosił referat O wychowaniu młodzieży.

DZIAŁ KOBIECY.

Pączki.

Tradycya pączków ginie. Co prawda niebardzo nad tem ubolewać wypada. Hygiena ma im dużo do zarzucenia. Zdrowy żołądek strawi wprawdzie, co mu podadzą, ale kto go ma dzisiaj — zwłaszcza wśród mieszkańców miasta. A trzeba mieć naprawdę zdrowy żołądek, aby dać sobie radę z przetłuszczonem ciastem, jakiem są pączki, spożywanem nadomiar o ile możności na gorąco. Aby jak najmniej odnieść szkody z takiego eksperymentu, powinnoby się mieć przynajmniej gwarancyę, że tłuszcz jest świeży i dobrej jakości, a ciasto przerobione należycie, jak najpulchniejsze.

W czasach margaryny, kunerolu i mnożących się nieustannie innych „olców''; w czasach fabrycznego niemal wyrobu produktów cukiernianych (do czego zresztą wytwórców zmusza i drożyzna ingredyencyi tak szybko wzrastająca, że ceny wyrobów nie mogą dotrzymać jej kroku, i konieczność sporządzania jak największych zapasów, aby wyjść na swojem) — w takich czasach nie można przysięgać, że kupiony pączek, powstał w sposób przepisany przez wiedzę kulinarną i że pływał, jeśli nie w maśle, to przynajmniej w smalcu!

Dawniej było smażenie pączków niemal obrzędem uroczystym. Gosposie również wiele przywiązały ambicyi do ich udania się, jak do sukcesu „bab'' wielkanocnych. Każda niemal z pań po długich czasach praktyki dochodziła do stosowania pewnych specyalnych sekretów, choćby polegających tylko na drobnej zmianie w stosunku wagi części składowych. Sekrety te były zazdrośnie strzeżone jako tajemnica urzędowa, przechodziły zazwyczaj z matki na córkę i t. d. wzbogacane coraz nowemi poprawkami i przydatkami.

W dzień smażenia pączków ruch panował w całym domu; prym wiodły zwłaszcza dzieci, czyhające tylko na sposobność, aby dorwać się półmiska i porwać jak najświeższy pączek — już po spożyciu liczby ich dozwolonej przez matkę. Że częstokroć nazajutrz po pączkach trzeba była wzywać lekarza, by olejem lub innym środkiem przywrócił młodocianym brzuszkom nadwerężoną sprawność — to jasne. Ale o tem nie myślało się, gdy raczeni pączkami domownicy i goście unosili się nad przedziwnym smakiem specyału, a panie szturmowały do gospodyni z prośbą o przepis.

W mieście także więcej interesowano się pączkami niż obecnie. Cukiernie i kawiarnie miewały mnóstwo gości, którzy przychodzili specyalnie na pączki w porze, gdy świeżo usmażone, roznoszono je po lokalu. Otwierano też na czas zapust specyalne zakłady dla wyrobu pączków. Wskazywały do nich drogę transparenty z podobizną wazy z pączkami, ułożonymi w stożek.

Z programu zabaw zapustnych zniknął także „król migdałowy'', który za pośrednictwem pączka nieraz kojarzył pary małżeńskie; ustała uprzywilejowana ongi „loterya'', polegająca na tem, iż właściciel cukierni, w celu przywabiania klienteli, wewnątrz jednego lub nawet kilku pączków wkładał dukata, nie omieszkawszy wcześniej zawiadomić o tem publiczności.

Wszystko to minęło! Traci z roku na rok wpływy i znaczenie karnawałowy pączek, — podobnie zresztą jak jego brat przyrodni „chróścik'', czyli z warszawska „faworek'', niegdyś cieszący się równą popularnością.

Z.

Małżeństwa w Japonii.

Pomimo postępu, krzewiącego się tak szybko w Japonii, panują tam dotąd zwyczaje, sprzeczne z cywilizacyą Zachodu, która nie przeniknęła jeszcze w progi życia rodzinnego. Celibat nieznany jest wcale w Japonii; nie ma tam ani starych kawalerów, ani starych panien. Mężczyźni żenią się bardzo młodo. Zaledwie młodzieniec dojdzie lat 18 a dziewczyna 16, już rodzice ich kojarzą, kierując się jedynie obawą wygaśnięcia rodu, nie zaś względem na szczęście dzieci. Zwyczaje japońskie nie dozwalają, aby narzeczony zbliżał się do swej narzeczonej i starał się o jej względy. Powinien polegać zupełnie na wyborze rodziców.

Słowa kochać nie używa się w rozmowie z kobietą, byłoby to zuchwalstwem; to też małżeństwa z miłości są niesłychanie rzadkie w Japonii. Zazwyczaj rodzice, bez żadnego udziału młodej pary, prowadzą matrymonialne rokowania i układy o posag. Zapobiegliwi rodzice, po urodzeniu się córki, zakładają plantacyę pewnego gatunku brzozy, dającej kosztowne drzewo i sprzedają je, gdy panna za mąż wychodzi. Jest to rodzaj ubezpieczenia posagowego.

Posag dawany bywa w naturze, w przyrządach kuchennych, sprzętach, które wystawiają się na okaz przed ślubem. Po tej ceremonii, bardzo skomplikowanej, panna młoda staje się rzeczą swego męża; prawo dozwala jej wszelako w trzy dni po ślubie wrócić do domu rodziców i spędzić tam tydzień. Po upływie tego czasu małżonek przychodzi ją zabrać do domu; jeśli jednak w ciągu pierwszych trzech dni obchodził się z nią brutalnie, pannie młodej wolno nie wracać już pod dach okrutnika. W takim razie małżeństwo zostaje rozwiązane bez żadnej procedury.

Jedyny to wypadek, w którym kobieta japońska może w obronie swych praw wystąpić. Jeśli powróci do męża, to rozpoczyna się dla niej niewola, trwająca do śmierci, pełna znęcań i upokorzeń, których jednak ofiara nie odczuwa zbyt dotkliwie, gdyż jest do nich wdrożona od młodu.

O.

Jak pielęgnować płeć?

W dołączonym do nr. 5-go „Tęczy'' poradniku „Drogeryi Uniwersum'' (właściciel Bronisław Śniegocki) czytamy w artykuliku pod powyższym tytułem między innemi co następuje:

Dla osób z cerą skłonną do piegów jest bardzo dobrem używanie latem czerwonej parasolki. Kolor czerwony absorbuje promienie słoneczne, w ten sposób twarz chroni i piegi nigdy bardzo widocznie wystąpić nie mogą.

Prócz używania maści lub wody na piegi, zaleca się jeszcze zmywanie rano no twarzy za pomocą na ten cel przyrządzonych otrąbków migdałowych, do których należy domieszać nieco piasku morskiego, chemicznie czyszczonego. Piasek taki jaknajlepiej zpreparowany ma na składzie drogerya „Universum'' w puszkach po 1,00 M. Piasek powyższy przyspiesza zejście powierzchniej skórki z twarzy, a w następstwie, usunięcie piegów.

Drugą wadą cery są tak zwane węgry, które spostrzegamy najczęściej na nosie. Nie należy ich nigdy wyciskać, gdyż to rozciąga pory, które się wnet kurzem napełniają i w ten sposób tworzą się na twarzy coraz większe, czarne punkciki. Bardzo dobrym środkiem przeciw węgrom jest wycieranie miejsc, na których się pokazują, wodą kolońską, lub octem toaletowym.

Oprócz powyższych środków możemy polecić bardzo do usunięcia piegów „Creme Ephelidine'' dr. Koszutskiego w słojeczkach po 1 M.

ROZMAITOŚCI.

Kiedy cesarz austryacki Franciszek Józef przejeżdżał razu pewnego przez most w stolicy Czech, wiatr zerwał mu kapelusz z głowy i wrzucił w Mołdawę. Pewien żołnierz nie namyślając się długo, wskoczył w rzekę, wydobył kapelusz i wręczył go cesarzowi. Cesarz podziękował uprzejmie i kazał się zgłosić po nagrodę do pułkownika K. Uczciwy żołnierz poszedł w oznaczonym czasie do pułkownika, od którego otrzymał dwa guldeny, to jest tyle ile wynosiła wartość kapelusza, i dzień aresztu za to, że mundur niepotrzebnie zniszczył. „Życie narażać dla ratowania życia bliźnim — szlachetnie; życie narażać dla kapelusza, choćby i cesarskiego — nierozsądnie; marsz do kozy!“ — rzekł krótko i zwięzłowato pułkownik.

* * *

Echa rewolucyi w Moskwie. Śledztwo w sprawie grudniowego powstania zbrojnego w Moskwie ujawniło niektóre charakterystyczne szczegóły. Rewolucyoniści rozporządzali kadrami drużyn uzbrojonych robotników w sile 20,000 ludzi, przyczem wielu z nich uzbrojonych było w dobre karabiny mauzerowskie, bijące na 1200 kroków. Członkowie drużyn otrzymywali po 1 rb. 25 kop. do 2 rb. 50 kop., strejkujący zaś robotnicy po 30 kop. dziennie. W pierwszej chwili powstania władze posiadały do stłumienia go tylko 1,500 bagnetów, później jednak stosunek ten uległ znacznej zmianie. Kadry bojowe powstańców składały się z ludzi bardzo młodych; najstarszy liczył zaledwie 23 lata.

* * *

Największy okręt wojenny całego świata, należący do marynarki angielskiej, został spuszczony na wodę w Portsmouth dnia 19 b. m. Okręt ów nazywa się „Dreadnougth“ (Nie bojący się niczego) jest największym i najszybszym pancernikiem, jaki dotąd zbudowano, i mógłby sam jeden podjąć walkę z całą flotą niemiecką. Pojemność jego wynosi 18,000 ton, siła maszyn 23,000 koni, a szybkość 21 mil morskich na godzinę. Dotąd największe okręty wojenne miały po 4 działa o kalibrze 30,5 centimetrów, natomiast „Dreadnougth“ otrzyma 10 takich dział o niedoścignionej dotąd dalekonośności. Dla odparcia ataku torpedowców służy 18 dział szybkostrzelnych o kalibrze 7,6 centimetra. Prócz tego ma „Dreadnougth“ 5 rur do wyrzucania torpedów. Wartość okrętu oszacowano na 48 milionów marek.

* * *

Kongres Cyganów odbył się niedawno w Sofii, stolicy Bułgaryi. Cyganie posiadali do niedawna w Bułgaryi prawo wyborcze, ponieważ jednakże ciągnąc od miasta do miasta, głosowali często po kilka razy, więc rząd odebrał im prawo głosowania. Kongres w Sofii, na który przybyło kilka tysięcy Cyganów, uchwalił protest przeciwko temu rozporządzeniu rządu i zażądał przywrócenia Cyganom prawa wyborczego. Odbył się także demonstracyjny pochód, którego przebieg był spokojny.

* * *

Gdzie potrzebują najwięcej papieru? Powiesz może, miły czytelniku, że Francya lub Anglia jako kraje najwięcej ucywilizowane potrzebują stosunkowo najwięcej papieru. Bynajmniej. Krajem błogosławionym dla fabrykantów papieru jest półwysep Korea, kość niezgody między Rosyą a Japonią. Ludzie nie są tam co prawda zbyt piśmienni, lecz papier znajduje zastosowanie w najrozmaitszych gałęziach przemysłu. I tak na Korei szyby w oknach nie są szklane, lecz papierowe, napuszczone olejem, kapelusze, parasole z papieru, chodniki, dywany, drzwi z papieru czyli masy papierowej, płaszcze nieprzemakalne, odzienie z masy papierowej, stosownie preparowanej. Przemysł papierniczy kwitnie w tak wysokim stopniu na Korei, że nawet do Chin wysela towary tego rodzaju, a wiadomą jest rzeczą, że Chińczycy w tym kierunku do niemałej doszli doskonałości.

* * *

Zeszyte serce. W tych dniach dokonano w triesteńskim szpitalu zeszycia serca niejakiemu Cesare Cavali, ranionemu śmiertelnie nożem w serce. Po operacyi zeszycia zastosowano masaż serca. Rzadki ten jeszcze zabieg chirurgiczny wykonany został po raz pierwszy w szpitalu triesteńskim. Lekarze mają nadzieję utrzymania Cavali'ego przy życiu.

* * *

Wyzysk pracy domowej. W Berlinie otworzono wystawę prac domowych, dającą pogląd na wyzysk, któremu podlegają w Niemczech robotnice, którym rozmaici przedsiębiorcy oddają wykonanie prac w domu. Wystawa ta wykazała stosunki wprost oburzające. W niektóryih przypadkach płaca nie wynosi nawet 1 i pół fenyga na godzinę, a rzadko może zarobić robotnica 10—20 fenygów. Położenie rodzin, które na taką pracę są wskazane, jest jak najokropniejsze; nędza z domu nie wychodzi. Publiczność, której po raz pierwszy przedłożono jasny obraz tych stosunków, domaga się głośno, aby na drodze prawodawstwa ulżono doli tych nieszczęśliwych, ponieważ oni sami nie mają dość siły, — aby na drodze własnej organizacyi obronić się przeciw wyzyskowi.

Humorystyka.

Z motywów ludowych.

Siwy gołąbeczek
Grucha sobie — grucha!
Mówi parobeczek:
— Moja żonka głucha.

Ja wołam obiadu —
Ona gadu, gadu...
Wykipiała rzepa!
— Moja żona ślepa...

A nuże Moniko!
Wykipi ci mliko,
Przypali się kasza;
Dolaż — dola nasza!

Ale chociaż żonka
I ślepa i głucha —
Parobeczek w dłonie
Na mrozie nie chucha.

Jest na grzbiecie kożuch,
W komorze słonina,
W skrzyni karbowańce,
Na łóżku pierzyna.

Siwy gołąbeczek
Grucha sobie — grucha!
Dobra żonka z wianem,
Choć ślepa i głucha.

Na balu.

— Matka: Pan Józef cały wieczór dzisiaj z tobą tańczył, chyba ci się oświadczył?

— Córka: Tak mamo!

— Chwała Bogu! I cóż powiedział?

— Córka: Oświadczył mi, że się nigdy nie ożeni.

Z karnawału.

„No... Jakże tam karnawał?"
— Pytano pana Jana —
— A niech go wszyscy djabli!
Oto... proszę pana
Byłem na kilku balach
Z córkami i żoną...
Zgnieciono mi szapoklak —
Palto zamieniono,
Nowiuteńkie kalosze
Komuś się przydały,
Zgubiłem rękawiczki
A... córki zostały!

Poświadczenie.

Poświadczam niniejszem, jako po użyciu środka na nagniotki wymysłu pana Plasterkiewicza zgubiłem je zupełnie.

P. S. Proszę Pana, Panie Plasterkiewicz, jeszcze o 10 plasterków, na każdy palec jeden, gdyż butów wciągnąć nie mogę, tak mnie odciski bolą.

Dwuznacznie.

— Wiesz żonuś, dobra gąska, ale na naszem weselu była jeszcze lepsza.

— Drugiej takiej gąski jak ta, którą dostałeś od mej matki w dzień ślubu, pewnie już nie znajdziesz.

Z facecyi autentycznych.

Szyler, jako chłopiec, bardzo lubił grać na harfie. Sąsiad jego, któremu sprzykrzyło się brdąkanie ucznia, wchodzi do pokoju mówiąc: „Grasz jak Dawid, Fryderyku, tylko, że nie tak pięknie".

Na to Szyler: „Mówisz pan jak Salomon, tylko, że nie tak mądrze".

* * *

Król Ludwik ujrzał dwie piękne gruszki i kazał je sobie zerwać. Ogrodnik zrywa i daje je królowi. Ten jednę zaraz zaczyna jeść, a drugą daje ogrodnikowi, który ją troskliwie z łupiny obiera. Król go pyta, dlaczego taki wybredny? a on: Bo mi jedna wpadła w coś... i nie wiem która.

Rzeźnik u adwokata.

Rzeźnik: Proszę pana mecenasa, jeśli pies porwie kulę cielęcą, poszkodowany ma prawo żądać od właściciela psa wynagrodzenia szkody.

Adwokat: Zapewne.

Rzeźnik: A więc proszę pana mecenasa o sześć marek, gdyż przed chwilą pański pies porwał z jatki ćwiartkę cielęcą.

Adwokat: W takim razie skwitowaliśmy się, gdyż za odbytą co dopiero konzultacyą prawną należy mi się również sześć marek.

Na wsi.

Znikają mrozy, pierzchają lody,
Z śniegu oczyszcza się gleba,
Żeby nie zaznać przy żniwach szkody,
Powoli orać potrzeba.

Żałośnie bardzo ryknęły woły,
Słysząc wiosenne to hasło —
Wychudły w zimie, bo spichlerz goły,
Więc się mizernie je pasło.

Służba folwarczna biedzi się w nędzy,
Śle moc błagalnych ci słówek,
Chce ordynaryi oraz pieniędzy,
Bo nastał ciężki przednówek.

A tutaj zboże będzie nie prędko,
Nierychło dadzą plon niwy —
Już się nie cieszysz wintem, gawędką,
Boś w troskach, kmieciu poczciwy.

Jeśli urządzisz się bez hałasu,
To możesz zdobyć mamonę:
Sprzedaj czemprędzej kawałek lasu,
Jeśli nie wzięty w ochronę.

Jaka różnica między słomą a sianem?

— „Wojtek, jaka różnica między słomą, a sianem?" — Niewiem. — A ty głuptasiu, to przecież każde bydlę wie.

Kumie co wieziecie?

— Hej kumie, co wieziecie? —

— Drzewo.

— Adyć to nie drzewo, tylko siano.

— Kiedy widzicie co wiozę, to na co się pytacie?

Trafiła kosa na kamień.

Podczas mych podróży widziałem wieżę, której szczyt sięgał do nieba — mówi pierwszy. — A ja — rzecze drugi — widziałem wieżę tak niską, że jej wcale widać nie było.

W teatrze ua prowincyi.

Aktor na scenie (deklamuje z patosem) Kiedyż nareszcie spokój mieć będę!

Głos z galeryi. Jak mi pan zapłacisz za garnitur.

Prosimy przy zamówieniach powoływać się na „Pracę”.

Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę!

Prosimy odciąć.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat März 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)
für 0,42 M.

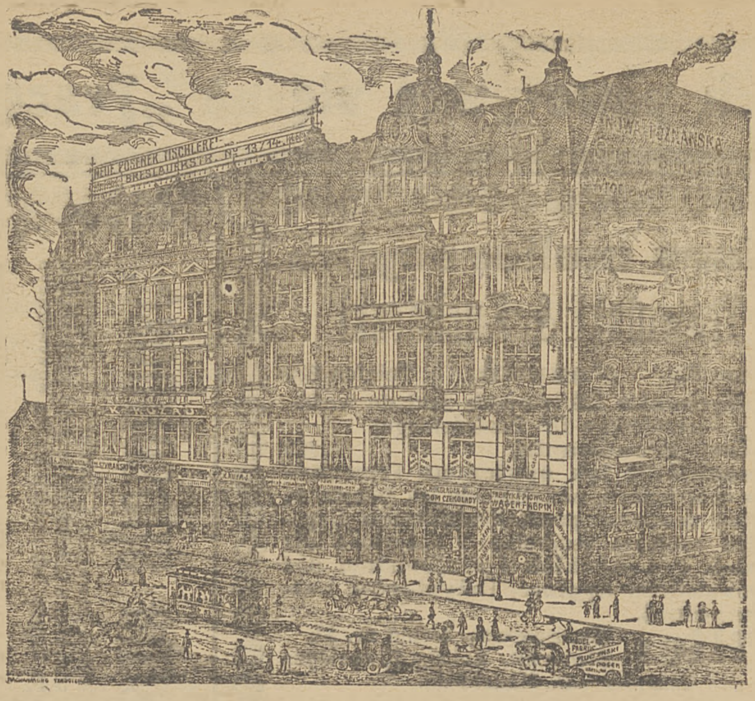
(Imię i nazwisko): ____________________

(Mieszkanie): ____________________

Obige 0,42 M. erhalten zu haben, bescheinigt

____________, den ____________

Kaiserl. Post ____________



Nowa Poznańska Spółka Stolarska

Pluciński & Co.

Poznań, ul. Wrocławska nr. 13/14.

Firma sądownie zapisana, własne kamienice. Telefon 1761.

Atelier wewnętrznych dekoracyi.

Magazyn mebli. Całkowite **urządzenie mieszkań od najtańszych** aż do najwykwintniejszych. **Saloniki, pokoje męzkie, jadalnie, sypialki,** również **wszelkie meble pojedyncze** jako to: Kredense (bufety), szafy, szyfonierki, stoły, krzesła, umywalki, łóżka, biurka, lustra, **meble ozdobne** (luksusowe), **meble wyściełane, garnitury** w gobeliny, w dywany, w plusze, w materye jedwabne, kanapy męzkie, **kanapy patentowane do spania** tak zwane znikające, łóżka, kanapy panelowe, leżanki. 138

Wielkie zapasy mebli wyściełanych gotowych

zawsze na składzie.

Przyjmuje się zamówienia, wysyła się dekoratorów i tapicerów, na życzenie posyła się próby różnych materyi.

Ceny niskie. **Usługa skora.**

Przystanek koleji elektrycznej przed Magazynem.

Ulica Wrocławska nr. 13/14 (przystanek koleji elektr. Taubenstr).

Pokrywanie dachów

na pałacach, kościołach, wieżach i zwyczajnych budowlach, łupkiem, dachówką, metalem, szkudłami, tekturą smołowcową.

Ceny przystępne i odpowiednie gwarancye.

Referencyami od powag w budownictwie i p. właścicieli, służę na życzenie.

Na życzenie dostarczam kosztorysa i obliczenie statystyczne. 137

Ig. Wolniewicz

Telefon nr. 36. Kostrzyn-Kostschin.

Kupiec inteligentny z wyższ. wykształ., posiad. swój własny dobrze prosp. interes, poszukuje dla braku znajomości pań 134

żony

panny lub młod. wdow. z skromn. majątkiem. Łask. zgłoszenia z dołącz. fotogr. przyjm. Eksp. „Pracy“ pod lit. **R. W. Nr. 116.** Sekret rzecz honor., anonimy się pali.

Panie z odpowiedniem wychowaniem, posiadające cokolwiek majątku, które chciałyby zawiązać korespondencyą w celu bliższego poznania się (w sprawie matrymonialnej) prosi 135

kupiec

kawaler, miłej powierzchowności w 31 roku życia, posiadający zaprowadzony, dobrze prosp. interes z pewnem utrzymaniem o łaskawe podanie swego adresu z dołączeniem fotografii pod adresem **„Amor“** do Ekspedycyi „Pracy.“ Dyskrecya rzecz honorowa.

Kawaler polak, posiadający wyższe wykształ. 27 lat liczący, urzędnik gospodarczy, szuka na tej drodze

towarzyszki życia.

Panny, lub młode wdówki z majątkiem 40—50,000 mk. raczą swe oferty wraz z fotografią nadesłać pod lit. **N. W. 36** Bahnstation Biadki Za dyskrecyą ręczy się słowem honoru. 132

Oberża

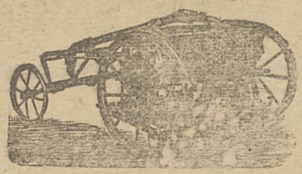
w mieście z 7 mórg roli i **Gościniec** na wsi z 65 lub 9 mórg roli jest korzystnie **do sprzedania** pod literą **S. S. 1906. Gnesen** postlagernd. 127

UCZNIA

z odpowiedniem wykształceniem uczciwych rodzicow przyjmie zaraz 139

St. Łożyński

Środa, handel tow. kolon. delikatesów win i cygar.



Znany z swych nadzwyczajnych zalet i dotąd **stanowczo najlepszy** 99

siewnik rzędowy Saxenia Siedersleben

tak na role pagórkowate, jak i na równe, mam w Poznaniu **jako główny reprezentant,** w rozmaitych wielkościach na składzie. Obok tego mam w zapasie po nader przystęp. cenach.

Siewniki szerokorzutne Beermanna

chwilowo za najlepsze uznane.

Siewniki czyli potrząsacze

do stucznych nawozów Schloera, Westfalis, Hampla i innych systemów.

A. Byliński,

Poznań, ul. Rycerska Nr. 11 a.

Telefon Nr. 69.

Adr. do listów: A. Bryliński Poznań — Posen.

Adr. do telegr.: A. Bryliński Posen.

Skład machin i narzędzi rolniczych najnowszej konstrukcyi.

Części zapasowe do nich, jako też pracownia do napraw.



Dla czego teraz mama mydłem więcej nie pierze?

Moje dziecko mydło jest dobre ale za drogie w czasie obecnej drożyzny. Gdy się pierze mydłem trzeba bieliznę mocno trzeć przez co się bardzo niszczy. Oszczędna i praktyczna gospodyni pierze teraz już tylko **Saponinem** bo przez to oszczędza sobie pracy i pieniędzy, kto raz spróbuje przekona się o znakomitych skutkach.

Saponin jest do nabycia w składach drogeryjnych i kolonialnych w paczkach po **25** fen.

Gdzie niema na składzie wysyła się w prost 8 paczek za 2,00 mk. franko. Chemiczna fabryka „Saponin“ **C. Nagórski,** Pr. Stargard 2. 487



Kamienica w Swarzędzu przy rynku, której plac przechodzi do drugiej ulicy, stosowna na każdy interes, piętrowa o 6 oknach frontu, z obszernem podwórzem, ogrodem owocowym i warzywnym, remizami i stajniami, od drugiej ulicy przy poczcie plac budowlany, nowo założony wodociąg, zamieszkała przez doktora i komisarza, jest przy zaliczce 10 do 15 tysięcy marek do sprzedania. Cena kupna 37,000 marek. Zgłoszenia przyjmuje 131

Schleichert

Swarzędz (Schwersenz) Rynek nr. 92.

Handel bławatów i konfekcyi

z bardzo dobrem powodzeniem, w powiatowem i handlowem mieście Księstwa, liczącem blizko 6000 mieszkańców, jest z powodu stosunków prywatnych, przy bardzo korzystnych warunkach i nie wielkiej wpłacie zaraz do nabycia. 128

Zgłoszenia proszę do Ekspedycyi "Pracy“ pod literą **L. P. 128** przesłać.